№ 33 Warszawa, dnia 2 (14) Sierpnia roku 1880.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Z WYCIECZKI

Na Święty Krzyż i w Kieleckie.

Kilka wspomnień

spisał

Juliusz Chodorowicz.

(Dalszy ciąg).

Wypoczęty niezgorzej, szumem borów ukołysany. w towarzystwie Nemroda mojego z Myszek, puściłem się w początkach Sierpnia na wędrówkę dalszą po kraju. Wiózł mię on znanym sobie szlakiem... Dostawszy się na szosę fabryczną, dążyliśmy wprost do Brodów, osady górniczej, położonej w nader malowniczej miejscowości. Zakłady tutejsze, jak huta i walcownia sporo zatrudniają rąk ludzkich. Mrowiły się też wszędzie robotników zastępy, słychać jeszcze było świst maszyn, huk młotów i siekiery, gwar iście fabryczny. Piękne kanały, szluzy i upusty, porządnie utrzymane budowle fabryczne, ruch i życie wszędzie, wymownie świadczą, o rozwoju górniczego przemysłu w ś-to Krzyzkiem, ztąd mieliśmy się udać na Łysą Górę. Zapniów, toć siedziba „Starosty Sandomierskich Kuligów“ rad też przybyłym, ugaszczał nas gospodarz i do rana zatrzymał. W nagrodę zaś straconego czasu, obiecały nam damy towarzyszyć w wycieczce na Ś ty Krzyż.

Z Zapniowa, odległego o jakie parę mil od Łysej-Góry, widać już doskonale tradycyjny kościół i klasztor Ś-go Krzyża; zarysowuje się on na tle okalających go wieńcem wsi i przysiołków. Jedziemy krajem prześlicznym, gleba tu pszenna, drogi zato niegodziwe. Tu parowy i wąwóz, jar skalisty, tam znowu wzgórza, modrzewiowemi porosłe gaikami. Co chwila zmieniają się widoki, wszystko pieści twe oko, rozwesela duszę. Sam nie wiesz, co więcej podziwiać: żyzność, czy też bogactwo krajobrazu? Otóż przed nami Chybice, prawdziwie górska wioseczka, z kościołkiem: tam dalej mijamy Baszowice, tuż pod Słupią, gwarzymy wesoło. Starsza z dam, nie przywykła do jazdy takiej, szalenie w istocie męczącej, zamyka oczy, krzycząc na woźnicę by jechał stępo, młodsza uśmiecha się tylko. wskazując energicznie paluszkiem na dachy miasteczka. Jesteśmy wreszcie w Nowej-Słupi. Czujemy to dobrze wszyscy, ludzie i konie. Nejtyczanka na kilka co najmniej cali podskakuje w górę, o bruk się tłukąc piekielny. Panie chwytają się za boki, jęczą, wychodzą wreszcie na grunt kamienisty. Miasteczko rolnicze, przeszło tysiąc liczące sławetnych obywateli, nie zdoła choćby faszyną wymościć głównej swej ulicy! Może jeremijady? Więc basta! o Ryczywole... znacie resztę? Wszakże legendowym się stał wierszyk ten Biskupa Warmińskiego... Stajemy przecie w rynku—świeże tu jeszcze ślady pożaru, sterczące belki i domostw, szczerniałe wiązania dachów, rozwalone kominy, miejscami, niemiłe sprawiają wrażenie. Brudna i bosa dziatwa, mięszając się z nierogaciną i cielętami, snuje się po ulicy i gapi na naszą bryczkę. Starsi w polu gdzieś przy robocie. Niekiedy nawinie się żydziak jaki, wracający z synagogi, jako w dzień sabatu. Otóż i wszystko. Nie flamandzki to nawet obrazek... Gdzież tu zachęta do znajomości z mieściną? A jednak w obawie Ugolinowych męczarni, szukamy tu szklanki herbaty... Gdy tak biadamy, wypatrując gospodarza, Węgra, co zajazd tu i'garkuchnię utrzymywał roku zeszłego, sunie przed nami siwy jakiś, o sumiastym wąsie i pomarszczonem obliczu jegomość. W niebieskiej kapocie, krojem surdutowym, w czapce z rydelkiem na głowie, wygląda nam coś z waszecia.

— Niech będzie pochwalony!... zaczepiam go pierwszy, szukając jak to mówią języka.

— Na wieki wieków... skłoniwszy mi się z powagą, odpowie, i chustką kraciastą w ręku machając spogląda na mnie badawczo.

— Wszakże tu w rynku gdzieś Węgier mieszka, utrzymujący oberżę?

— Węgier? Węgier? powtórzył razy kilka starowina, ano mieszka tu naprzeciwko, w tem oto domostwie. I palcem wskazując, dorzucił: toć drzwi otwarte na ścieżaj, sporo widać gości w cukierni.

— Cukiernia, czy gospoda mniejsza oto—odparłem z uśmiechem—żeby choć mięsa kawałek i szklankę dostać herbaty...

— Państwo chyba z daleka? z jowialnym gestem spytał stary. Na Ś-ty Krzyż, nie chybi?

— Nieinaczej — mruknąłem — wyjechaliśmy po rannem śniadaniu, kilka mil drogi, to i jeść się zachciało. A jak tu się nie posilimy, to tam na górze ani myśleć...

— Jegomość dobrodziej *praktyk*, uważam. Hm! to co innego, kiwając głową, mówił jakby do siebie. I głodem mrzyj, choć tu w Słupi, bez urazy, i owsa dla koni pasz... Oj tak, tak... mospanie... głód, to wielki satrapa, cha... cha.. cha... chcesz, nie chcesz, a słuchać go musisz.

— Zkąd starzec ten w Słupi? pomyślałem sobie w duchu .. no, proszę! A fizyognomia widać moja zdradziła myśl ukrytą, skoro, jakby zgadując pytanie, dodał tenże.

Głód, dobrodzieju mój, to kiepska sprawa... a na Ś-tym Krzyżu i obwarzanka za grosz nie dostanie...

Zanosiło się na dłuższą gawędkę, gdy wreszcie dały się słyszeć wołania pań naszych.

— Żyło się kiedyś między ludźmi... mruknął jeszcze staruszek... dziś przyszło obrazki na odpustek sprzedawać... aby dalej, nim zawołają tam z wysoka! Szczęśliwej drogi, niech Bóg prowadzi, kończył, rękę moją ściskając.

Za chwilę byłem już przed domostwem, gdzie towarzystwo się nasze nie żartem kłopotało. Odnaleźliśmy jakoś Węgra naszego, o posiłku jednak z razu i marzyć niepodobna było. Gosposia w kwaśnym humorze, głucha na wszelkie zapytania i prośby. U żydów szabas, wszystko śpi, lub kugle gdzieś pokryjomu zajada. Nie zrażony atoli przeciwnościami, szturmowałem zawzięcie i sprawdziło się że: „kto puka, temu otwierają." Gospodarz, jarmarkowemi przygotowaniami zajęty, kazał nastawić samowar, zdobyliśmy trochę masła i mleczywa, resztę dopełniło wyborne piwo Kieleckie.

W godzinę niespełna, wjeżdżaliśmy pod górę, w las. Łysogóry, jak wiadomo, ciągną się od wsi Zagdańska ku Opatowu. Grzbiet pasma ich wznosi się najwyżej między Bodzentynem a Nową Słupcą, gdzie na dwu krańcach leżą najwyższe góry: Łysica, czyli Św. Katarzyny i Łysa góra, czyli Ś-to Krzyżka Wzniesienie szczytów Ś-to Krzyzkiej według ścisłego obliczenia w r. 1829, wynosić ma 1775,08 st. par. nad poziom Baltyku. W znacznych ilościach znajdują się tu rudy żelazne, wapień, dostarczający prześlicznych marmurów. Droga, od samego już podnóża Łysej Góry, stromą i kamienistą wijąc się ścieżką, stopniuje na póchyłości całe pasmo cudownych legend. Na wstępie wpada nam w oko po lewej stronie dróżyny kamienna jakaś figura, czy posąg, potwornych iście kształtów. Człowiek że to, czy symbol świata pierwotnego? Nie Fidyaszowego dłuta posąg rzeczony, osią staje się legendy, zamierzchłych sięgającej czasów. Przedewszystwiem ma to być człowiek skamieniały. Pokutnik nasz klęczy z rękoma wzniesionemi w górę, jakby w uznaniu popełnionej zbródni. Niegdyś, z grzeszną myślą w duszy, z wesołą gędźbą dokoła pędził rozpasaniec ku miejscom świętym. Przebrała się nieprawości miara, i piorun, kreśląc w powietrzu tajemniczą przestrogę obecnym, straszliwe oczu ich przedstawił widowisko: Skamieniał występny... Wieki upłynęły... i oto domierza się pokuta winy jego tam wysoko, kędy okiem tylko ducha sięgamy. Przeklęty, odkupiony, postępuje zwolna w górę. Gdy dojdzie szczytu jej, nastąpi kataklizm w naturze: otworzą się płomieniste wnętrza ziemi, słońce, księżyc i gwiazdy zgasną gdzieś w mrokach, trąba archanioła królestwo ducha ogłosi i zwróci tam wszystko, zkąd wzięło początek. Piękna zaiste legenda, rzewna jak wytwór gorącej wiary... jak wyobraźni ludowej kwiat, naiwna... Trochę dalej widnieją przydróżne kapliczki, niby stacye wielkiego eremu, w pewnych grupując się odstępach. Zostawiamy przy jednej z kapliczek woźnicę z końmi, sami zaś, drapiąc się po skałach, potężnym i starym porosłych lasem, odbywamy pielgrzymkę ku Ś-mu Krzyżowi. Bór coraz tu gęstszy, aksamitne wezgłowia góry bujną przyodziewają się zielenią. Gdzieniegdzie z roskosznym szmerem tryskają źródełka, jak kryształ przezroczystej wody, tam znowu nad przepaścią bystry ruczaj swawolnie igra z kamykami. Znużenie ogarnia nas chwilami, pragnienie coraz bardziej dokucza. Piłoby się jak chłopię Dyogenesowe, dłonią chociażby. Pot jednak zlewa czoło, w obawie więc przeziębienia, obchodzimy źródełka i po krótkim spoczynku na pierwszym z brzegu, olbrzymim kamieniu, ruszamy dalej. Krajobraz staje się jakoś ascetycznym, jakby w przedsionku świątyni... Zalatuje nas niekiedy zapach mięty i macierzanki, przyglądamy się liljowej barwy dzwoneczkom, rosnącym po urwiskach i wąwozach. Aż oto na wierzchołku już samym, niby strażnica do lesistej przyczepiona krawędzi gór uderza nas majestatem swym i powagą, kościół i klasztor Ś-go Krzyża, średniowiecznej struktury fasada kościoła; wieżyca jego i kopuła w słonecznych kąpią się promieniach. Panie wydają okrzyk radości... Kolumbowa ziemia! Tuż, tuż, zdaje się klasztor przed nami i ginie nam wreszcie z przed oczu! Mylny widocznie, obraliśmy kierunek, i miasto udać się wprost, brodzimy na prawo po łączce klasztornej. Lecz oto po za moczarami, na pólku, uwija się gromadka żniwiarek: dajemy jej znaki, wołamy. Jakoś w pośród łanu zbóż, usianych bławatem wychyla się postać w czerni i szeroko-skrzydłym kapeluszu. To ksiądz miejscowy. Dwa straszne apokaliptyczne cerbury, obcego węsząc przybysza, z głośnem szczekaniem towarzyszą mu. Zbliżamy się, wita nas sługa boży w imię Chrystusa, nie dziwiąc się bynajmniej, ani też pytając, zkąd i jak się tu pojawiliśmy? Dla niego rzecz to zwyczajna. Tysiące pobożnych, a więcej jeszcze ciekawych, nawiedza miejsca te, tyle uświęcone wspomnieniami i pamiątkami. Prowadzi nas ksiądz po stromej skale, drogą miejscowym tylko znaną. Gramolimy się jak kto może, po stosach kamieni. Za chwilkę, małe robaczki, patrzymy w oblicze tytana. Kościół już otwarty, pogrążeni w milczeniu, schylamy czoło przed Panem świata... Potężne, nie dające się opisać, sprawia tu wszystko wrażenie. Sam nie wiesz, od czego zacząć, co pierwej oglądać.

Okiem zaledwie rzuciwszy na płyty kamienne dzieje kościoła i klasztoru opiewające, wchodzimy do wnętrza świątyni.

(d. c. n.)

KWIAT PAPROCI.

W młodości chwil kilka rozkoszy, zachwytu,
Przebłyska jak światło wśród cienia;
A nawet i potem z tej doby rozkwitu
Zostają urocze wspomnienia.

Bo na tym padole człek, dziecię przyrody,
Z kwiatami rozkwita w swym maju.
O! wówczas i kocha i śpiewa, gdy młody,
I świat mu podobny do raju.

Cudowność go w koło otacza, zachwyca!
Wciąż łudzą go widma i mary;
Obcuje on z niemi przy blasku księżyca,
Hołduje im, wierzy w ich czary.

Jam przeżył mą wiosnę na dzikiej pustyni,
Gdzie głucha i leśna kraina;
Lecz i mnie pieściła tu Nerys bogini *)
Urocza wód naszych Ondyna.

Bywało, gdy Wilia zaszumi w swym biegu,
A księżyc jej fale ozłoci,
Na tenczas bogini, stanąwszy na brzegu,
Dawała mi kwiatek paproci.

Czarowny to kwiatek, znajomy ze skazki,
Co nianki nam jeszcze bajały;
Wśród leśnej zaciszy złotemi on blaski
Rozkwita w noc Jana Kupały,

A kto go posiędzie wieczyście ten młody,
Ten marzy i kocha i śpiewa;
Rozumie co nocą w harmonii przyrody
I ptaki i kwiaty i drzewa.

W krainę cudowną wieszczego uroku,
Uwiodła mię postać nieziemna;
Słyszałem tajemny głos w szumie potoku,
Jak Wilia mówiła do Niemna.

Las ciemny wygadał mnie tajnie swych kniei,
Marzenia swe lilie i róże;
Ciekawe i wonne te wieści z kolei
Ja kiedyś w noc letnią powtórzę.

Tak kwiatem paproci przy wieszczej dziewicy,
Co łudzi mię czary swojemi,
Jam przeżył mą młodość w miłosnej tęsknicy
. . . .

Dziś duch mój wciąż lata za Wilii Ondyną
W marzeniach i w pieśni mych nucie,
Och! młodość snem była, fantazya boginią,
A kwiatem, me własne uczucie.

***

*) Nerys—opiekuńcze bóstwo rzeki Willi.

SAMUEL BROHL I SPÓŁKA.

przez

Wiktora Cherbuliez

przekład

Elizy Rostworowskiej.

(Dalszy ciąg).

VII.

Siedząc w powozie unoszącym ją do Cormeilles panna Moriaz była silnie wzburzoną, miotały nią różnorodne uczucia. Uczucie silne, namiętne, czułe uczucie gniewu i oburzenia przeciw uprzedzeniom niektórych osób, uczucie radości, że zwalczyła spisek uknuty przeciw jej szczęściu, dumy że pierwsza na wszystko jasno patrzyła i odgadła, że człowiek którego ukochała, był godzień jej miłości. Ostatnie dni minione, były dla niej pełne okropnych wspomnień, walczyła ze zwątpieniem, lękała się i niekiedy nawet głos jakiś wewnętrzny szeptał jej słowa:—A może też mają słuszność. Straszną torturą jest dla serca kobiety, gdy widzi, że się zawiodło na przedmiocie swych najwznioślejszych uczuć, gdy spostrzeże, że bóstwo jego, jest fałszywem bożyszczem, że musi pogardzać tem, co przedtem wielbiło. Wtedy przechodzi ono męki konania i zdaje mu się, że w wielkiej machinie wszechświata, pękła główna sprężyna, że niebo i ziemia muszą runąć. A jednak omyłka kobiecego serca nie pociąga za sobą tak straszliwych następstw; słońce świeci dalej, ziemia nie przestaje się obracać. Wielka machina wszechświata podlegałaby zaczęstym przewrotom, gdyby jej sprężyny nadwyrężać się miały, za każdym razem, gdy kobieta się łudzi.

— Ja jedna miałam słuszność, myślała panna Moriaz mijając most na Sekwanie. Ogarniała radosnem spojrzeniem błękitne niebo, przejrzyste fale, zielone i kwieciste brzegi rzeki i długi szpaler z wysmukłych topoli. Zdawało się jej, że wszystko było w porządku i w swojem miejscu, że wielki mechanik czuwał nad wszystkiem i że świat był w dobrych i pewnych rękach, a ludzie nie mieli się czego obawiać.

Gdy powóz stanął przed domem w Cormeilles, pan Moriaz siedział zamknięty w swojej pracowni

W aksamitnej czapeczce nasuniętej na ucho, z odwiniętemi rękawami, w płóciennym fartuchu, z miotełką z piór w ręku, oglądał z kolei swe ukochane narzędzia, pękate i długoszyjne flaszki, węże od alembików, klosze, tłuczki, chcąc się przekonać, czy żadne z nich nie zostało uszkodzone, przez czas jego nieobecności. Ocierał z kurzu słoiki, sprawdzał, czy nie zmieniono przylepionych na wierzchu kartek z napisami, i był szczęśliwy w tem swojem państwie, jak monarcha, który patrząc na swe wojsko nabiera przeświadczenia, że w danym razie przyniesie mu zaszczyt i chwałę.

Mimo ulubionego zajęcia w jakiem zagłębiony był od dwóch godzin, pan Moriaz nie zapomniał o istnieniu swej córki i pana Laryńskiego. Wiedział. że Antonina udała się do Maisons-Laffitte, gdzie leżała willa pani de Lorcy, aby porozumieć się ze swą chrzestną matką, i to właśnie mąciło jego spokój. Miał jednak nadzieję że wszystko pomyślnie się skończy i że owa polska gwiazda, która sprawiła mu tyle niepokoju, zniknie na zawsze z jego nieba.

Zastukano do drzwi pracowni.

— Proszę wejść, zawołał, odwróciwszy głowę spostrzegł Antoninę stojącą w progu. Spojrzał na nią badawczo. Oblicze jej promieniało szczęściem, oczy błyszczały tak dziwnym blaskiem, że ręce profesora opadły, wypuszczając trzymaną flaszeczkę.

— Niedobra córka, która ojcu takie czyni psoty, zawołała wesoło.

— Niewielka szkoda, odrzekł pan Moriaz, zmiatając szczątki potłuczonego szkła, aby tym sposobem zyskać na czasie. Lecz brał się do rzeczy tak niezręcznie, że Antonina podbiegłszy odebrała mu z ręki miotełkę.

— Tak się zamiata, rzekła nachylając się.

Patrząc na nią, w milczeniu profesor myślał: —Nasze role zmieniły się widocznie, teraz ja mam przedłużoną fizyognomią, a ona nie może ukryć swej radości. Zwykła kolej rzeczy na tym świecie.

Skończywszy swą robotę, Antonina spojrzała w około.

— Otóż powróciłeś ojcze do tego raju, gdzie upływa ci tyle chwil szczęśliwych, pełnych najsłodszej rozkoszy.

— Prawda że jestem tu szczęśliwy, dosyć szczęśliwy, odrzekł.

— Nie udawaj ojcze, twoja pracownia jest ci bardzo drogą.

— Prawda, ale przed chwilą zauważyłem, że brak tu czegoś. Wiesz co jest mojem marzeniem? Chciałbym umieścić tam w tym kącie, przezroczystą kaplicę. Czy wiesz, co to znaczy? jest to przedmiot niezrównanie użyteczny, oddający nieocenione usługi, który znajduje się w każdem laboratoryum chemicznem w Niemczech.

— Któż to śmiał zarzucić ci ojcze brak rozbujałej wyobraźni? zawołała Antonina. Jesteś człowiekiem bardzo romansowym, a twoim romansem jest przezroczysta kaplica; i dla tego to jesteś tak pobłażliwym na cudze idylle i poemata.

Otrzepawszy miotełką krzesło, usiadła w niem wygodnie, a wskazawszy stołek stojący naprzeciwko rzekła:

— Ty ojcze usiądziesz tu, bliziutko mnie, położę poduszkę na stołku, aby ci lepiej było siedzieć, ale słuchaj uważnie, muszę pomówić z tobą.

Zbliżył się z niechęcią.

— Czy mam zdjąć fartuch? zapytał.

— A na co?

— Przewiduję, że rozmowa nasza będzie wysoce romansową, chciałbym być ubrany stosownie do okoliczności.

— Owszem, w fartuchu bardzo ci do twarzy. Żądam tylko, abyś mnie słuchał z wielką uwagą.

I opowiedziała mu jak najdokładniej, co zaszło u pani de Lorcy. Zaczęła mówić spokojnie, potem ożywiała się stopniowo, oczy jej pałały. Profesor słuchał z niezadowoleniem, patrząc na nią z dumą, powtarzał sobie w duchu:—Boże mój jakaż ona ładna, a ten Polak, jakiż to szczęśliwy łotr!

Skończywszy czekała na odpowiedź, lecz widząc że pan Moriaz nie miał wcale zamiaru mówić, zawołała z niecierpliwością:

— Mówże ojcze, chcę wiedzieć, co o tem myślisz!

— Myślę, że jesteś zachwycającą.

— Och! proszę cię nie żartuj.

— Nie wiem, czy się mylisz, czy też masz słuszność, ja jednak mam zawsze pewną wątpliwość.

— W takim razie, zawołała unosząc się, jedyną prawdą na świecie jest to, czego możemy się dotknąć i co się daje widzieć oczyma, reszta zaś, to fałsz, kłamstwo, urojenie!

Poruszyła się gwałtownie i powiodła po pracowni takim wzrokiem, że pan Moriaz zadrżał o swoje słoje i flaszki.

— Litości dla moich niewinnych narzędzi, rzekł, one nie przyczyniły się do tego, że historye jakie opowiadasz, tak pomieszały mi władze myślenia, że nie mogę pojąć dobrze ich znaczenia.

— Czy nie wierzysz ojcze w rzeczy nadnaturalne?

— Nadnaturalne! Gdy je spotykam, oddaję im pokłon, odrzekł zdejmując czapeczkę i dotykając nią ziemi, ale potem zapytuję o ich papiery i świadectwa.

— Ach zawsze to samo. Zdawało mi się, że śledztwo już skończone.

— Nie było ono zadawalniające, kiedy nie zaspokoiło pani de Lorcy.

— Któż jest zdolnym przekonać panią de Lorcy? czy nie wiesz ojcze że ludzie światowi nienawidzą zawsze tego, co ich zadziwia, co wyższe nad nich, co się nie da zważyć na ich mikroskopijnych ważkach.

— A to surowo sądzisz świat, ja dotąd myślałem że go lubiłaś.

— Nie wiem dobrze, czy go lubię, prawda że niepotrafiłabym obejść się bez niego, ale mimo to, wolno mi go sądzić; często mówię sobie, że gdyby Chrystus... słuchasz mnie?... ukazał się teraz w Paryżu, wraz ze swymi rybakami, gdyby stanąwszy na bulwarach zaczął mówić kazanie...

— Powiedz lepiej w kościele Montmartre, a rzecz będzie prawdopodobniejszą, rzekł pan Moriaz. Zresztą nie wiem, co za stosunek mieć mogą sceny biblijne z panem Laryńskim. Zostawmy teraz teologią na boku, choć wiem, że jest ona rzeczą dobrą i pożyteczną, ale uznasz może, że jeśli kiedyś działy się cuda prawdziwe, to dotąd dzieją się niekiedy fałszywe cuda.

— Niech o tem sądzi serce odparła.

— Oh! nieomylność serca! zawołał profesor. Zdaje mi się, że żaden sobór jej nie zatwierdził.

Nastała chwila milczenia, po której pan Moriaz rzekł znowu:

— A więc moja droga jesteś zawsze przekonaną że pan Laryński jest dotąd wolnym, i że pani de Lorcy skłamała.

— Nie, gdyby kłamała nie byłaby się zdradziła tak prędko. Posądzam ją o dobrowolną omyłkę... Wiesz ojcze, co ty uczynisz dziś po obiedzie? Wsiądziesz do powozu i pojedziesz...

— Do Paryża, na ulice Mont-Thabor! zawołał porywając się z miejsca.—Bardzo dobrze, ubrawszy się we frak pójdę powiedzieć hr. Laryńskiemu: Kochany panie przybywam prosić o twą rękę dla mojej córki, która cię kocha; złe języki rozgłaszają, że nie jesteś już wolnym, ale ja temu nie wierzę, a zresztą to rzecz małej wagi... Nie zapomnij tylko dać mi to wszystko na piśmie, inaczej nie wywiązałbym się dobrze z polecenia; gdy raz zejdę z katedry, jestem tak mało wymowny.

— Boże jakiś ty porywczy ojcze! Któż ci o tem mówi? Ksiądz Miollens jest naszym przyjacielem, jest to człowiek zacny, którego świadectwo jest godne wiary.

— To co innego, czemuż nie tłomaczyłaś się jaśniej? Nie potrzebujesz już pisać mi przemowy. Przyjmuję twój wniosek, dziś po obiedzie pojadę do księdza Miollens, ale zgodzisz się, że jeśli on potwierdzi wyrok...

— Przystanę na wszystko, będę silniejszą, niż się spodziewasz, spojrzę odważnie w oczy memu nieszczęściu i nie poznasz nawet, że żałuję rozwianych marzeń. Ale obietnica za obietnicę, z twej strony przyrzeknij mi że jeśli ksiądz Miollens...

— Wiesz, że jesteś pełnoletnią.

— Wiem także, że nigdy nie obejdę się bez twego zezwolenia. Tutaj powtarzam ci, co mówiłam w Szwajcaryi: On albo nigdy nikt.

— Czy cię nie przestrzegłem, że gdy raz wypowie się podobną sentencyą, powtarza się ją zawsze?

— On albo nigdy nikt, oto moje ostatnie słowa... Czyż nie będziesz wolał jego mój ojcze? Czy go przyjmiesz chętnie?

— Zniosę go.

— Z dobrą wolą?

— Z poddaniem się.

— Czy poddasz się ochotnie?

— Zrobię, co będzie w mojej mocy; albo raczej jeśli cię uszczęśliwi, będę go błogosławił każdego dnia, każdej godziny, w przeciwnym zaś razie rano i wieczór powtarzać ci będę, wraz z panią de Lorcy: Nie chciałaś mnie słuchać, trzeba mi było wierzyć.

Spojrzał jej prosto w oczy, potem zawołał gniewnie:

— Ależ na Boga, po co ty go kochasz?

— Bo go kocham, to jest jedyny powód, ale dla mnie wystarcza on, w zupełności.

— Tymczasowo... Pójdźmy ztąd, dodał pan Moriaz powstając. Lękam się aby słuchając cię moje flaszki nie wpadły w omdlenie równie długo trwałe jak owo pana Laryńskiego; któż kiedy podobne niedorzeczności wypowiadał w laboratoryum chemicznem?

Zaraz po obiedzie pan Moriaz zaczął się wybierać w odwiedziny do księdza Miollens. Panna Moiseney odprowadziła go do powozu.

— Boże mój! rzekła z przejęciem, Antosia godną jest uwielbienia! Jak odważnie pogodziła się z losem, wyrzekając się niemożliwego szczęścia! Czyś pan uważał jak, była spokojną dziś przy obiedzie? Doprawdy jest zadziwiającą!

— Równie zadziwiającą, jak pani jesteś przenikliwą.

— Prawda, że nie przypuszczałam nigdy, aby go tak bardzo kochała, jak to pan myślałeś, wiedziałam jednak, że się jej podobał i że polubiła go szczerze. Czy się skarżyła, czy płakała, poznawszy straszną prawdę? Cóż to za siła charekteru, co za jednostajność humoru, co za podniosłość uczuć. Pan ją nie dosyć oceniasz, nie dość jesteś dumny z posiadania takiej córki. Ja się szczycę z tego, że przyłożyłam ręki do jej wychowania. Starałam się zawsze rozwijać w niej zdrowy rozsądek i strzedz ją od wszelkich zboczeń, tak zgubnych w przyszłości. Śmiem powiedzieć, że pracowałem niemało, nad ukształceniem umysłu Antosi.

— Dziękuję pani z całego serca, odparł pan Moriaz, możesz powiedzieć sobie, że dokazałaś cudu; proszę jednak, abyś po skończonej przemowie, uprzedziła woźnicę, że może ruszać z miejsca.

— Jadąc pan Moriaz rozmyślał nad zaszłemi okolicznościami i czynił samemu sobie wyrzuty.

— W całej tej sprawie postąpiłem bardzo nierozważnie, myślał. Wyobraźnia jej podległa wpływowi, który z czasem byłby zmniejszył się koniecznie. Trzeba było zostawić rzecz całą jej własnemu rozsądkowi, którego nie brak jej przecież. Byłem dość niezręczny, by wtajemniczyć panią de Lorcy, która wszystko popsuła. Jak tylko Antosia spostrzegła że wybór jej został potępiony i że spiskujemy przeciwko nieprzyjacielowi, przyjaźń i uwielbienie jakie wzbudził w niej pan Laryński, zmieniły się na uczucia miłości, iskra tlejąca pod popiołem zaczęła się rozżarzać. Przerachowaliśmy, się nie myśląc o tej kobiecej wadzie, którą nazwano: duchem sprzeciwieństwa. Teraz idzie o to, kto z tej walki wyjdzie zwycięzko. Gdy do miłości przyłączy się chęć zwalczenia przeszkód, siły przeciwnika nie mogą być pewne wygranej i z pewnością zostaniemy pobici, jeźli Niebo, lub sam pan Laryński nie przyjdą nam w pomoc.

W ten sposób rozmyślając, pan Moriaz stanął u drzwi domu, w którym przez lato zamieszkiwał ksiądz Miollens. Wszedłszy zastał księdza siedzącego w wygodnem krześle z filiżanką wybornej herbaty, którą misyonarze przysłali mu z Chin. Obok niego po lewej stronie na stoliku stało pudełko ze skrzypcami, po prawej leżała książka zawierająca utwory Horacyusza.

Zaczęto rozmowę. Zaledwie pan Moriaz wymówił imię pana Laryńskiego, wyraz twarzy księdza zmienił się, wesoły uśmiech osiadł na ustach jego.

— Co to za człowiek niezrównany! zawołał.

— Wielkie Bogi! pomyślał pan Moriaz, czy oni mnie chcą zmusić do podzielenia tych przekonań, strach mnie przejmuje, abym się nie zaraził tem ogólnem uwielbieniem.

— Jakże ja panu podziękuję, żeś nam nastręczył sposobność poznania tego ślicznego człowieka, rzekł ksiądz. To pan nam go przysłałeś, a raczej wynalazłeś, odkryłeś go.

— Oh! nie przesadzaj pan mojej zasługi, odparł skromnie pan Moriaz, on się sam wynalazł.

— To przynajmniej ułatwiłeś mu pan wiele rzeczy; doprawdy nie myślałem nigdy, aby na tym świecie istniał taki geniusz, kryjący się jak fijołek w trawie.

— To musi być liga utworzona przeciwko mnie, pomyślał pan Moriaz.

— Czy uwierzysz pan że co chwila odnajduję w Horacyuszu pana Laryńskiego. Horacyusz go sportretował w Lolliuszu, tak w Markusie Lolliuszu, do którego napisał IX odę, w księdze IV. Był on konsulem w r. 733 po założeniu Rzymu. Podobieństwo jest uderzające, o czem się pan łatwo przekonasz. To mówiąc postawił filiżankę i zaczął przewracać kartki leżącej obok niego książki.

— Cóż pan o tem powiesz?—Duch twój mądry jest, pisał Horacyusz do Lolliusza, z równą stałością opiera się pokusom szczęścia, jak i przeciwności. Nie jestże to hr. Laryński? Słuchaj pan co dalej pisze: Lolliusz nienawidził oszustwa i chciwości, pogardzał pieniędzmi, które przecież mają pewien powab dla zwykłych ludzi, abstinens ducentis ad se cuncta pecuniae. Rys ten jest uderzający; co do mnie znajduję, że nasz kochany hrabia zanadto lekceważy pieniądz, odwraca odeń oczy z obrzydzeniem, sama wzmianka o nim jest mu nieznośną, to drugi Dyogenes, to czysty pustelnik minionych czasów, który żył szczęśliwie w puszczy. Mówił nam kiedyś, że nie znajdaje różnicy między szklanką czystej wody, a wybornym obiadem w Café Anglais... Ale nie na tem koniec.—Szczęśliwy, woła Horacyusz, kto umie cierpieć, nie żaląc się na ubóstwo, qui duram callet pauperiem pati! O kim on mówi, o Lolliuszu, czy o naszym przyjacielu, który nie tylko znosi swą biedę, ale ubóstwia ją, jak swą kochankę? A wreszcie na zakończenie, Lolliusz był zawsze gotów umrzeć dla swej idei. Powiedz pan czy to nie jest prawdziwie zadziwiającem? Czy nie zdaje się, że Horacyusz znał osobiście hr. Laryńskiego?

— Bezwątpienia, odparł pan Moriaz zamykając książkę. Szczęściem jednak, nasz przyjaciel Laryński, jak go pan nazywasz, miał wyborną myśl zmartwychwstania przed trzydziestu laty, co nam nastręczyło sposobność spotkania go w Saint Moritz; a kiedy już o tem mowa... kochany księże, masz teraz umysł wolny? Czy możesz posłuchać mnie przez chwilę? Mam zadać ci kilka pytań, prosić o pewne objaśnienia. Nie przemawiam tu jedynie do twego ducha. ale mówię jak do spowiednika, do kierownika cudzego sumienia, do człowieka, któremu śmiało można powierzyć tajemnice.

— Słucham pana, rzekł ksiądz rozsiadając się wygodnie w swojem krześle.

Pan Moriaz zaczął mówić. Ksiądz Miollens słuchał nie zgadując, do czego gość jego zmierza. Gdy jednak spostrzegł o co rzecz chodzi, poruszył się gwałtownie i zawołał:

— Cóż to za nieszczęście! musisz pan wyrzec się swego pięknego marzenia, o jakże mnie to boli! Wiem z jaką radością oddałbym mu swą śliczną córkę. Nie mówię o jej majątku, hr. Laryński nie dba o podobne drobnostki, ale wdzięki jej przymioty anielskiego charakteru, uszczęśliwiłyby tego rzadkich zalet człowieka, który tyle cierpiał w życiu. Ona go kocha, jest kochaną, niebo pobłogosławiłoby ich związek... Ach! co za nieszczęście, małżeństwo to nie może przyjść do skutku, nasz przyjaciel jest ożeniony.

— Czy pan jesteś tego pewny? zawołał pan Moriaz, w radosnem uniesieniu, które ksiądz wziął za objaw wielkiej rozpaczy.

— Przykro mi, że panu sprawiam taką boleść. Czy jestem tego pewny! Sam pan Laryński mówił mi o tem. Pewnego wieczoru nie pamiętam już wskutek czego zapytałem: Czy był byś ożenionym kochany hrabio? na co on mi odpowiedział: Zdawało mi się że mówiłem już panu o tem. Ah! kochany profesorze, nie zaręczam, aby małżeństwo to było z najszczęśliwszych, ale to już pana nie obchodzi.

— A więc to prawda, rzekł pan Moriaz trzeba się poddać rzeczywistości.

— Tak niestety! odparł ksiądz zamyślając się, po chwili zaś dodał: Jednakże...

— Żadnych jednakże, kochany panie. Słowo twoje wystarcza mi w zupełności.

— Gdybym się był przesłyszał...

— Ufam słuchowi pana, wiem że jest wyborny.

— Nie trzeba jednak zniechęcać się tak łatwo. Wiem co zrobię, Pan Laryński był tu dzisiaj, lecz nie zastał mnie w domu, należy mu się więc wizyta. Jutro rano obiecuję panu pojechać do niego...

— Po co? przerwał pan Moriaz, dziękuję panu serdecznie za życzliwość, ale nie chcę trudzić go niepotrzebnie. Szkoda drogiego czasu! Jestem zupełnie przekonany o prawdziwości faktu, innych dowodów nie potrzeba mi wcale.

Lecz jak to zauważyła pani de Lorcy, ksiądz Miollons nie tak łatwo wyrzekał się raz powziętego zamiaru. Naprożno pan Moriaz starał się wybić mu z głowy zbytnią troskliwość, ksiądz nie chciał ustąpić. Zdecydowano więc że nazajutrz ksiądz Miollens, odda wizytę panu Laryńskiemu, poczem niezwłocznie uda się do Cormeilles, aby zawiadomić interesowane osoby o rezultacie swej wyprawy. Profesor widział w tem wszystkiem jedną tylko korzyść, mianowicie tę: że Antonina usłyszy z ust całkiem obcego człowieka potwierdzenie smutnej prawdy. Odchodząc pan Moriaz polecił przyjacielowi zachowywanie tajemnicy i wielką ostrożność.

Powracając do domu profesor był daleko swobodniejszy i droga wydała mu się znacznie krótszą i przyjemniejszą niż przedtem.

Samuel Brohl stał właśnie pochylony nad próżnym jeszcze kufrem, gdy zastukano do drzwi. Poszedł otworzyć, na progu ukazał się ksiądz Miollens. Od pierwszej chwili poznania Samuel Brohl powziął był dla niego przyjaźń i sympatyę, jaką zwykle uczuwał względem tych, którzy mogli przydać się na coś w przyszłości. Nie mylił się zwykle na podobnych rachubach, to też ufał zupełnie w trafność swych spostrzeżeń. Powitanie było nader serdeczne, Samuel wprowadził gościa do swego skromnego pomieszkania z tym większym pośpiechem, że na twarzy jego dostrzegł dziwnie tajemniczy wyraz. Czyż by tu przybywał dla zbadania stanowiska? rzekł sam do siebie. Ze swej strony ksiądz Miollens, przyglądał się bacznie Samuelowi; uderzony był wyrazem jego twarzy, na której malował się smutek i jakby głębokie wewnętrzne cierpienie. Oczy jego zdradzały bohatersko tajoną boleść, która ukrywała się przed ludźmi, a wyjawiała jedynie przed Bogiem.

Usiadłszy rozmawiano o rzeczach potocznych. Samuel mówił i słuchał z wdziękiem i uwagą. Choć ciekawość miotała nim, umiał zapanować nad swą niecierpliwością. Samuel Brohl umiał czekać, dowiódł tego przez ubiegły miesiąc, a jest to wielki dar, którego brak niejednemu.

Odwiedziny trwały już dość długo, ksiądz Miollens zabierał się do wyjścia, lecz w chwili pożegnania rzekł, wskazując na rozłożone pakunki:—Przygotowania te szczerze mnie trapią. Marzyłem ja kochany hrabio, że będę mógł zaprosić cię do siebie. Mam pokoik wolny, stworzony dla pana. Hoc erat in votis, byłbym bardzo szczęśliwy mieć takiego gościa. Bylibyśmy grywali co wieczór przy otwartem oknie, wychodzącem na ogród.

Hae latebrae, etiam, si credis, amoenae.

I rozmowa zawiązała się na nowo, potrącając o więcej zajmujące przedmioty. Zwolna ksiądz Miollens zaczął mówić o miejscach i osobach, wspomniał o przeszłości i o tem wszystkiem co kiedykolwiek czynili razem i o czem dawniej rozmawiali. Widząc Samuel do czego gość jego zmierzał, stał się więcej ożywionym i rozmowniejszym. Stopniowo, niepostrzeżenie, rozmowa weszła na tór całkiem poufny.

— Powiedz mi kochany hrabio, rzekł wreszcie ksiądz, powiedz mi, dlaczego tak rzadko wspominasz o swojej żonie?

— O mojej żonie, odparł zagadnięty, nie mam i nigdy nie miałem żony.

— To być nie może! zawołał zdumiony ksiądz, sam przecież mówiłeś...

— Że nie jestem wolny, prawda, mówiąc to myślałem o pewnej idei; którą poślubiłem i której dochowam wiary.

Ksiądz Miollens nie posiadał się z radości, zarzucał Samuela pytaniami, na które on odpowiadał spokojnie, nie tracąc zimnej krwi i panowania nad sobą. Wreszcie gość zaczął mówić o panu Moriaz i o Antoninie.

— Nie zapieraj się kochany hrabio, wiem dobrze że kochasz pannę Moriaz; lepiej, ona także wie o tem. Czemuż chcesz uciekać od szczęścia, które

się do ciebie uśmiecha? Po tylu cierpieniach i przeciwnościach, należy ci się od życia zadość uczynienie.

— Prawda, kocham ją! zawołał Samuel, zakrywając twarz rękoma, kocham nad wszystko, lecz przysiągłem, że ona nigdy o tem wiedzieć nie będzie. Wczoraj owładnięty niegodną słabością zdradziłem się. Boże co ona musi o mnie myśléć?

Mówiąc to rozsunął z lekka palce i spojrzał nieznacznie na księdza iskrzącemi oczyma, które równie jak oczy kota widziały jasno wśród nocy.

— Co myśli o panu, rzekł ksiądz zażywając tabakę. Bah! kochany hrabio, kobieta nie pogniewa się nigdy za to, że ktoś mdleje dla jej pięknych oczów, zwłaszcza gdy ów mdlejący jest niepospolitym człowiekiem. Mam dowody że panna Moriaz nie wzięła panu za złe wczorajszego wypadku. Mamże wypowiedzieć całą myśl moją? Nie byłbym wcale zdziwiony, gdyby mi powiedziano, że serce jej rozbudziło się i że gdybyś pan chciał zadać sobie trochę trudu, mógłbyś pozyskać je na własność.

W tej chwili głos poważnego księdza brzmiał w uszach Samuela jak najdzwięczniejsza muzyka. Nie usłyszał co prawda nic nowego, ale są rzeczy, które choć powtarzamy sobie sto razy, zdają nam się zupełnie nowe, gdy nam je ktoś inny po raz pierwszy powie.

— Czy nie żartujesz pan ze mnie? zapytał Samuel uniesiony radością. Czy mógłbym mieć nadzieję... Czy ona uznałaby, że jestem godzien... Jakież to obrazy przedstawiasz pan moim oczom! Jesteś zarazem anielsko dobrym i bardzo okrutnym! W słowach twych mieszała się straszna gorycz z niezrównaną rozkoszą. Nie, niespodziewałem się nigdy, aby w radości było tyle cierpienia, w cierpieniu tyle radości.

— Tak jest kochany hrabio jeśli potrzebujesz pośrednika, służę ci z całego serca, mówił ksiądz Miollens.

Słowa te dziwnie podziałały na Samuelu, wyprostował się i rzekł chłodno:

— Pośrednika? na co mi pośrednika? nie pozwolę ukołysać się nieuzasadnionym marzeniem. Szczęście jakie mi pan przed oczy stawiłeś, nie może do mnie należéć, wyrzec go się muszę na zawsze.

Ksiądz Miollens gniewał się trochę, nalegał, tłomaczył przyjacielowi, że nie powinien unosić się egzaltacyą, przyzywał na pomoc słowa Ewangielii cytował Bossueta, ukochanego Horacyusza, który radzi unikać ostateczności.

— Na litość uszanuj pan moje szaleństwo! Powtarzam że nie jestem wolny, a gdybym nawet nim był, między mną a panną Moriaz jest nieprzebyta przepaść.

— Jaka przepaść? zapytał ksiądz Miollens.

— Jej majątek i moja duma, odparł Samuel. Ona bogata jam ubogi, ta idealna istota nie dla mnie stworzona. Powiedziałem pani de Lorcy, co myślę o tego rodzaju małżeństwach. Tak mój zacny przyjacielu, kocham pannę Moriaz i miłość tę uważam za wielkie przestępstwo z mej strony. Nic mi nie pozostaje, jak uciekać ztąd i nigdy w życiu nie widzieć jej więcej. Pocieszać się będę myślą, że szczęście nie uciekało odemnie, i że ja sam pchnięty myślą natchnioną, odwróciłem się od niego. Na dnie każdej ofiary jest zawsze kropla słodyczy, jest wyłączna łaska nieba spływająca na znoszących wielkie boleści w milczeniu. Słyszę głos wewnętrzny, mówiący wyraźnie, że dla mnie na tej ziemi nic istnieć nie powinno prócz obowiązku, jemu to poświęcam uczucia, dla niego zagłuszam wołanie własnego serca.

Samuel Brohl wypowiedział te słowa dźwięcznym donośnym głosem, duch jego zdawał się bujać po wyższych sferach, oczy zwilżała łza przejrzysta. Poczciwy ksiądz Miollens był bardzo wzruszony, patrzył ze zdumieniem na tego bohatera, który mu się wydał natchnionym. Nic podobnego nie zdarzyło mu się spotkać w odach Horacyusza, sam Lolliusz został zaćmiony. Uniesiony uwielbieniem wyciągnął ramiona ku Samuelowi a przyciskając go do swej piersi zawołał:

— Ah! kochany hrabio, jesteś olbrzymem, jesteś wielki jak wszechświat!

(d. c. n.)

Kronika Paryzka.

(dokończenie)

Dopełnieniem niejako dzieła pana Ludwika Legrand, jest nowa powieść napisana pod tytułem la Chimère przez Ernesta Chesneau. Doktor prawa rozwija w teoryi szkodliwe następstwa w małżeństwie nieodpowiedniego wieku, powieściopisarz znów stwierdza niejako w praktyce powyższą zasadę.

Praca Ernesta Chesneau przyozdobiona kopią obrazu Gustawa Moreau, przedstawia również Chimerę za pośrednictwem pędzla, Artysta malarz poruszył wyobraźnię literata, który postanowił wytłomaczyć słowem symbol rozpostarty przed jego oczami. Wypada przedewszystkiem opisać obraz.

Mitologiczny centaur jaśniejący całym blaskiem piękna i siły fizycznej rozwinął skrzydła usiłując wzbić się w górę wraz z zawieszoną u szyi kobietą. Jaki cel tej podróży, czy udadzą się do krainy wiecznego szczęścia, czy też do tych okolic niebezpiecznych, gdzie niebo jest chmurne, drogi przykre, upadek bez ratunku? Nie wiadomo. W układzie postaci kobiety można dostrzedz szlachetność i prostotę a nad tem górującą niewinność, jak pyłek na kwiatku świeżo rozkwitłym.

Tego rodzaju postać niewieścią uosobiają owe wymarzone nimfy, rusałki, najady i t. d. unoszące się wśród eteru pod wpływem radości wolnej od wszelkich namiętności zmysłowych.

Kobieta jednak nie może się wznieść w górę o własnych siłach, potrzebuje pomocy centaura i ten właśnie towarzysz jej ma nadany charakter wielce zagadkowy. W twarzy pięknej i młodej można wyczytać niezwykłą podniosłość ducha; zdaje się, że nie ma nic wspólnego z ziemią, że tylko wypadkowym sposobem dotknął jej powierzchni. Ze złudzenia jednak tego trzeźwiejemy prędko zwróceniem uwagi na inne części postaci. Duch tu już nie przemaga, ale materya w całej potędze swej ponęty. Najsilniejsza wola, najwznioślejsze zamiary wzniesienia się do krainy ideału nie powiodą się, przedstawiona para zostanie na ziemi, a jeżeli pod wpływem rozpaczliwego wysilenia potrafi się wznieść na chwilę wyżej, to jedynie tylko dla tego, aby upadek swój uczynić tém straszniejszym.

Obraz ten pełen myśli głębokich i tajemniczych, Ernest Chemeau postanowił wytłomaczyć przez ujęcie przedmiotu w formę powieści współczesnej. Zaiste autor posiada odwagę niepospolitą, aby przedmiot fantastyczny oparty na mitologii chcieć przyodziać w szaty rzeczywistości. Rozpatrzmy się bliżéj w tej pracy.

Młoda panienka imienia Helena von Howe zostająca w całej prostocie i niewinności ducha, niemająca jeszcze najmniejszego wyobrażenia o życiu rzeczywistem, poślubia jenerała de Cermont, człowieka w podeszłym wieku, ale poważanego wielce przez wszystkich bez wyjątku. Na związek tyle niestosowny młoda panienka zezwala bez oporu; podchlebiają jej starania człowieka zasłużonego, zwłaszcza że żaden z młodzieży mieszkającej w okolicy nie pozyskał jej względów. Nie można się temu dziwić, Helena sądzi w swej niewinności, że życie jej będzie płynąć zawsze jednym prądem, a tylko jadać będzie zawsze z jenerałem śniadanie i obiad i czynić honory domu. Dopiero po ślubie dowiaduje się o znaczeniu i potędze miłości. Centaurem z obrazu jest w tym razie Gaston de Chauly, malarz znakomity, syn chrzestny jenerała, i wychowany jego kosztem i staraniem.

Młodzi ludzie kochają się, ale każde z nich przyrzeka uroczyście nie zwichnąć swego życia złamaniem obowiązku, a nadto objawem krzyczącej niewdzięczności. Z Heleną postępuje mąż jak najszlachetniej, zostawiając jej zupełną swobodę i nie objawiając nigdy najmniejszego cienia podejrzenia. Gaston znów zawdzięcza wszystko swemu ojcu chrzestnemu.

Zgodnie więc z przedstawieniem obrazu, oboje czyści i święci chcą się wznieść do krainy ideału. Nie możemy żyć, ale możemy umrzeć razem, mówi Helena z zupełnem przekonaniem. Ten właśnie heroizm jest przyczyną ich upadku, rozhukane fale morskie ocalają ich, omdleni znajdują przytułek na okręcie, a wróciwszy do przytomności, nie mają siły i odwagi do dalszej walki. Rzeczywistość odniosła zwycięztwo nad ideałem, centaur ze złamanemi skrzydłami został na ziemi.

Kwestya małżeństwa była, jest i będzie jeszcze długo przedmiotem różnorodnego rodzaju opracowań. Jakkolwiek ogół jest zupełnie zadowolony z obecnego stanu rzeczy, a tylko wyjątki narzekają, twórcze jednak głowy filozofów w guście Schopenhauera dokładają usiłowań aby znaleźć formułę zapewniającą szczęście wszystkich bez wyjątku. W tym razie jednak twórca pozytywizmu August Comte nie był wcale wysłuchany; zalecane przez niego jednożeństwo, a w razie śmierci jednego z małżonków sakrament wiecznego wdowieństwa, nie trafiły do przekonania. Niektórzy z tegoczesnych myślicieli, objawają skłonność do mahometanizmu, upatrując większe szczęście w wielożeństwie.

Przedmiot ten nawet z dziedziny filozoficznej przeszedł na pole sztuki. Czytaliśmy powieść wydrukowaną w Przeglądzie Dwóch Światów, gdzie intryga opartą jest na sprawach seraju Europejczyka mającego sześć żon, poślubionych legalnie wedle praw obowiązujących. W tym stanie wyobrażeń, zwróciła na siebie ogólną uwagę humoreska pierwiastkowo wydrukowana w Londynie następnie przetłomaczona na język francuzki i zamieszczona w jednem z ważniejszych pism paryzkich: Podamy jej treść w skróceniu.

Rzecz dotycze korzyści wielożeństwa.

Autor James Payn przedstawia siebie w postaci dobrodusznego i nader posłusznego małżonka. Odwiedza go czasami niejaki Simpson, bogaty negocyant osiadły od wielu lat w Persyi. Był to człowiek jeszcze w sile wieku.

Pani Payn jako kobieta wielce praktyczna mająca córki na wydaniu, zleciła swemu małżonkowi, aby w czasie poufałej rozmowy podsunął tę myśl Simpsonowi: Po dobrym więc obiedzie przy kawie skoro kobiety usunęły się na stronę, poczciwy Payn choć z mimowolnym wstrętem postanowił spełnić otrzymany rozkaz i zawiązał rozmowę ze swym przyjacielem.

— Wszak w Persyi panuje wielożeństwo? zapytał z pewnem zadowoleniem wewnętrznem, że tak zręcznie dotknął przedmiotu o który chodziło. Mó-

wiąc o małżeństwie Persów można było łatwo przejść do małżeństw Europejczyków, a nareszcie podsunąć myśl przyjacielowi. aby korzystając ze swego pobytu w Anglii, wybrał dozgonną towarzyszkę życia.

— Wielożeństwo panuje tylko między ludźmi bogatymi, odpowiedział Simpson; a że takich nie wielu jest, jednożeństwo więc przemaga.

— Wielożeństwo, mówił poczciwy Payn, jest prawdziwym zakałem rodu ludzkiego, ognisko rodzinne niema najmniejszego uroku, rodzina na wschodzie nie daje szczęścia, pozbawia człowieka pokoju narażając go na rozliczne nieprzyjemności.

— To zależne od okoliczności, odpowiedział Simpson popijając kawę. Czasem kilka żon jest powodem nieszczęścia, a czasem nie. Trzeba zachować wielką baczność w wyborze, większą jeszcze, niż w Europie, łącząc los swój z jedną tylko kobietą: Na wschodzie zawierając związek małżeński potrzeba myśléć nietylko o własnem upodobaniu, ale zwrócić baczną uwagę na posiadane już małżonki.

— Rzecz nadzwyczajna! krzyknął Payn, z jak zimną krwią rozprawiasz o rzeczach podobnych. Spodziewam się że przecież żaden Europejczyk nie zastosował się do tyle sprosnego obyczaju.

— Jedni zastosowali się, drudzy nie, odpowiedział Simpson. Co do mnie mieszkałem w Persyi przez piętnaście lat, mając jedną tylko żonę; zanim zdecydowałem się poślubić drugą.

Payn pod wpływem wzruszenia nie mógł przemówić ani jednego wyrazu, nareszcie wykrzyknął:

— Zbawicielu świata! uszom własnym nie dowierzam. Poślubiłeś zatem drugą żonę za życia pierwszej.

— Naturalnie, odpowiedział Simpson z krwią najzimniejszą, a obecnie mam cztery żony.

— Niechże cię Bóg ma w swej świętej opiece, cztery żony!

— Cztery żony były konieczne dla mego szczęścia i pokoju domowego, odpowiedział Simpson. Drugi związek małżeński był wypadkowy i stał się bezpośrednią przyczyną następnych. Znajdowałem się z moją żoną na balu w okolicach Bassory; dla przepędzenia czasu, wedle obyczaju europejskiego, otoczyłem grzecznościami siedzącą obok mnie kobietę, która nie była ani młoda ani piękna. Nie miałem żadnej złej myśli a jako żonaty nie przypuszczałem, aby uprzejmość moja mogła wywołać jakiekolwiek następstwa. Khaleda miała brata oficera kawaleryi, który wiedząc o posiadanym przezemnie majątku, postanowił mnie zmusić do powtórnego małżeństwa. Zagrożony byłem z jednej strony pojedynkiem a z drugiej strasznym gniewem mej żony Nr. 1. Lękałem się jednak więcej szpady, niż języka niewieściego i poślubiłem Khaledę. Odtąd dom mój był istnem piekłem, nie miałem najmniejszej przyjemności, a nawet wypoczynku. Kobiety bywają czasem nieznośne, nie chcąc pędzić żywota w ciągłem utrapieniu zamierzyłem poślubić numer trzeci.

— Numer trzeci zapewne liczący najwyżej lat dwadzieścia? zapytał Payn.

— Mniej więcej, ale pewno mniej, odpowiedział Simpson. Kobiety perskie dojrzewają prędzej aniżeli Europejki. Trzecia moja żona była prześliczna, ale mnie kosztowała drogo...

— Więc ją kupiłeś! krzyknął Payn zdziwiony.

— W ścisłem znaczeniu tego wyrazu nie mogłem powiedziéć że ją kupiłem, ale ostatecznie musiałem dać znaczne podarunki ojcu, matce i gubernatorowi Bassory.

„Wedle dziwacznego prawa miejscowego mężczyzna poślubiający trzecią żonę obowiązanym jest do złożenia grubej kwoty pieniężnej. Badoura jednak wartą była wszelkich zachodów i kosztów: była piękną i dobrą jak anioł, a śpiewała jak słowik. Na nieszczęście od czasu naszego ślubu tonęła we łzach. Dwa pierwsze numera moje Pirouze i Khaleda żyjące dotychczas w największej nienawiści, połączyły się przeciwko numerowi trzeciemu. Nienawidzę awantur domowych i nie posiadam dostatecznej siły fizycznej. Biedna Badoura byłaby może padła ofiarą nienawiści dwóch kobiet złośliwych, gdybym był nie poślubił Zobeidy.

— Numer czwarty! zawołał osłupiały Payn. Ale po cóż do licha to czwarte małżeństwo.

— Uczyniłem to jedynie z wielkiej miłości dla Badoury, Zobeida posiada nadzwyczajną siłę fizyczną i dlatego postanowiłem ją poślubić. Rzekłem do niej krótko i węzłowato:

— Jeżeli cię pojmę za małżonkę, czy będziesz bronić mej ukochanej Badoury?

— Będę bronić! odpowiedziała zaciskając pięści. Odtąd dom mój stał się prawdziwym rajem; w jednem skrzydle mieszka Pirouze i Khaleda są silne i każda z nich zdolna jest zadusić moją ukochaną Badourę, ale Zobeida jest silniejszą od nich oby dwóch, i starannie dopełnia przyjętego przed ślubem zobowiązania. Żywioły nieprzyjazne zostają odtąd w pewnej równowadze; strony walczące szanują się wzajemnie; odtąd jestem naczelnikiem domu, dawanego za wzór innym pod względem panującego w nim pokoju i zgody.

Humoreska ta jako wydrukowana w dwóch pierwszorzędnych językach europejskich, prawdopodobnie doszła do wiadomości Schopenhauera; szanowny filozof znajdzie w niej poparcie swej teoryi o korzyści wielożeństwa.

Inna jeszcze kwestya społeczna stoi w Paryżu na porządku dziennym, również jak sprawa małżeństwa obchodzi ona nietylko Francyą, ale wszystkie ludy bez wyjątku. Chodzi tu o otoczenie ludzi wychodzących z więzień po wycierpieniu kary za popełnione przestępstwo. Po większej części odpychani są oni wszędzie i przez wszystkich, słuszną więc jest rzeczą, aby w duchu nauki chrześciańskiej towarzystwo zbiorowe wyciągnęło ku niemu dłoń pomocy. Francuzi nie dając się nikomu prześcignąć na polu miłości bliźniego nie zapomnieli o nieszczęsnych ofiarach namiętności, choćby w największym upadku moralnym. Znaleźli się prędko odpowiedni ochotnicy i odpowiednie kapitały; ustanowiony komitet objawił wielką czynność, odtąd więźniowie po wycierpieniu kary nie zostaną bez przytułku znajdując odpowiednie zajęcie. Dotąd wszystko jest w porządku, ale zaszedł wypadek nastręczający pewną trudność do rozwiązania. Do sekretarza towarzystwa przejętego wielce ważnością sprawowanego przez siebie urzędu i jak każdy Francuz spełniającego ściśle otrzymane zlecenia, zgłasza się młody człowiek skromnie, lecz czysto ubrany i prosi o wskazanie jakiejkolwiek choćby najcięższej pracy.

— Dobrze, mój przyjacielu, odpowiada sekretarz, właśnie kilku przedsiebierców prosiło nas o robotników, powiesz mi tylko swoje imię, nazwisko, wiek, miejsce urodzenia i z którego wychodzisz więzienia. Nie potrzebujesz wymieniać, za co tam byłeś osadzony, okoliczność ta nie obchodzi nas wcale.

— Nie siedziałem w żadnem więzieniu, odpowiada młody człowiek, skoro nie miałem pieniędzy wolałem nie jeść, aniżeli wyrządzić komu najmniejszą krzywdę.

— W takim razie przyjacielu, odpowiada sekretarz, udałeś się do nas niewłaściwie, my tylko rozciągamy opiekę nad ludźmi opuszającymi więzienia.

— Ależ panie, odpowiada młody człowiek rozpaczliwie, zagrożony jestem głodną śmiercią, nie mam najmniejszych środków utrzymania.

— Powtarzam ci raz jeszcze, skoro wyjdziesz z więzienia przychodź wprost do nas, a znajdziemy ci pracę bezzwłocznie.

Wypadek ten autentyczny zaiste godny jest zwrócić uwagę ludzi patrzących głębiej na świat i ludzi.

Przegląd literatury zagranicznej.

WYKŁAD PUBLICZNY

o pierwotnym rozwoju chrystyanizmu,

miany przez **Ernesta Renau** w Londynie.

(Ciąg dalszy).

Dziewiętnastego Lipca 64 r. po narodzeniu Chrystusa rozpoczął się wielki pożar w Rzymie, w najbardziej zaludnionej części miasta, poprzerzynanej krętemi i ciasnemi uliczkami, wypełnionemi sklepami i sklepikami, a tem samem zawierającemi wiele materyałów palnych. Pożar trwał sześć dni i siedm nocy; wstrzymany na chwilę przez gruzy spalonych domów, rozpoczął się na nowo, i trwał jeszcze przez trzy dni i trzy noce. W owych czasach domy w miastach były nadzwyczajnie ściśnięte, ludność ogromna; doznana klęska w następstwach swych była straszliwa, i podobnej nie można było napotkać w dotychczasowych dziejach Rzymu.

Ogólna opinia oskarżała Nerona o wydanie rozkazu do podpalenia Rzymu, a przynajmniej do wznowienia takowego, skoro był blizkim zagaśnięcia. Miano widzieć ludzi z jego otoczenia, zapalających domy naraz w różnych miejscowościach, a ustawione wojsko przeszkadzało siłą wszelkim usiłowaniom zmierzającym do ograniczenia pożaru. Co gorsza jeszcze, Neron pod pozorem oczyszczenia miasta swoim kosztem, przywłaszczył sobie szczątki pożarowe, i place przytykające do dawnego jego mieszkania, również spalonego, a na powiększonym tym sposobem placu zbudował tak zwany *pałac złoty*, będący oddawna przedmiotem jego marzenia.

Zacniejsza część ludności rzymskiej zawrzała pod wpływem oburzenia. Poniesiono nietylko straty materyalne, ale spłonęły wszystkie dawne zabytki dziejowe, będące niejako żywem świadectwem tyle słynnej przeszłości. Zgroza powszechna musiała być wielka, kiedy Neron przestraszył się, i chciał w sposób dotykalny dać dowód, że nie on, ale kto inny był sprawcą pożaru. Wówczas to przyszła mu prawdziwie szatańska myśl, oskarżenia chrześcian o wywołanie tej strasznej klęski. Podejrzenie zwrócone w tym kierunku mogło się przyjąć z wielką łatwością.

Chrześcianie nie taili swego wstrętu do świątyń i wszelkich wspomnień pogańskiego Rzymu, zapowiadali blizki koniec świata za pośrednictwem ognia cudownego. Niektórzy żydzi osiedli w Rzymie jako dawni niewolnicy wojenni, nie chcieli dotykać monety zwyobrażeniem panującego, ani przechodzić przez bramę przyozdobioną kamiennemi bożyszczami. Okoliczności powyższe wywołały stosownie do usposobienia śmiech, pogardę lub gniew ludu rzymskiego. Po strasznej jednak klęsce, pragnienie zemsty zagórowało po nad innemi uczuciami.

Przyaresztowano początkowo pewną liczbę osób podejrzanych o należenie do nowej sekty religijnej. Żaden nie zaparł się miana chrześcianina, a przyznanie podobne uważane było za dowód popełnionej zbrodni. Prawdopodobnie żaden z obwinionych nie poniżył się do oskarżenia brata swego, ale wśród

nowo nawróconych mogły się znajdować duchy słabsze, zwłaszcza że tortury działały w całej potędze.

Ówczesna warstwa kierująca spostrzegła z przerażeniem ogromną liczbę zwolenników nowej nauki. Zagrożony tym sposobem został cały dotychczasowy układ społeczny, pożar Rzymu stracił na znaczeniu w obec mniemanych przewrotności zasad chrześciańskich, zagrażających zburzeniem najważniejszych podstaw państwa. Ludzie nawet przekonani o zbrodni popełnionej przez Nerona, chwalili działalność policyi, mającej na celu oczyszczenie miasta z chrześciańskiej, jak mówili, prawdziwej zarazy moralnej. W ten sposób patrzy się na cały wypadek Tacyt, pomimo kilku słów litości, rzuconych na korzyść nieszczęsnych ofiar obłąkania.

W jaki sposób karano ówcześnie mniemanych winowajców, nie będziemy powtarzać szczegółowo, chociaż uczony francuzki daje opis nader szeroki. Rzecz ta znana jest powszechnie, a niedawno wielki nasz artysta uwidomił świeczniki chrześciaństwa jako straszliwy obraz przeszłości.

Wspominamy jednak o dwojakiego rodzaju męczarniach, jako mających smutny przywilej zwracania ogólnej uwagi i ściągania chciwych wrażeń tłumów na widowiska dotychczas nieznane.

Skazanych chrześcian, zniewalano do odgrywania na deskach teatralnych różnych scen dramatycznych, kończących się śmiercią, która w tym razie nie była udaniem ale rzeczywistością. Sceny zaczerpnięte z mitologii, podobały się szczególnie zebranej publiczności: niekiedy przedstawiono Herkulesa spalonego żywcem na górze Etnie. Orfeusza poszarpanego na części przez niedźwiedzia, Dedala zrzuconego z niebios i pożartego przez dzikie zwierzęta i t. d. Skazaną na śmierć ofiarę przybierano z całym przepychem właściwym owym czasom, aby złudzenie uczynić jeszcze większem. Przy zakończeniu widowiska zjawiał się na scenie Merkury, który trzymanem w ręku żelazem, rozpalonem do czerwoności, przypiekał ciała zabitych, aby przekonać tak władzę jak widzów o rzeczywistości zaszłej śmierci.

Drugi rodzaj odpowiedniego widowiska, zasadzał się na przedstawianiu w żywym obrazie, różnych dzieł sztuki wsławionych ogólnem uzaniem. Znana jest gruppa rzeźbiarska znajdująca się obecnie w muzeum neapolitańskiem, a przedstawiająca dzikiego wołu wśród skał, krzaków i cierni, do którego rogów przywiązaną jest skazana na śmierć Dirsé.

Nędzny dosyć ten marmur, sprowadzony do Rzymu za czasów Augusta, znalazł wielkie uznanie wśród tłumów z mało wyrobionem poczuciem artystycznem. Otóż ówczesne władze i dyrektorzy zabaw, uznali za bardzo właściwe, aby pomysł rzeźbiarza przedstawić w rzeczywistości, i wiele chrześcianek zginęło wśród szalonych podskoków dzikiego wołu. Mniemani ówcześni znawcy zastanawiali się krytycznie, o ile pierwotny twórca pomysłu zbliżył się lub oddalił od rzeczywistości przedstawionej naocznie.

Podobne okrucieństwa nietylko chybiły celu, ale jak to zazwyczaj bywa we wszelkich objawach złości ludzkiej, wydały wprost przeciwne następstwa. Starano się zanadto schlebiać nikczemnej stronie człowieczeństwa, aby strona szlachetniejsza nie miała oddziałać z tem większą potęgą. W liczbie skazanych znajdowało się wiele zacnych matron rzymskich, wielu mężczyzn znanych z uczciwości i prawego postępowania; nie oszczędzano nawet dzieci, które za przykładem rodziców ginęły z odwagą przechodzącą wszelkie wyobrażenie. Dzikie tłumy poklaskiwały widowiskom, ale ludzie z jakimkolwiek wyrobieniem umysłu i serca, potępiali jednomyślnie zadawane męczarnie; wedle ich zdania proste wypędzenie z miasta chrześcian było aż nadto wystarczającem; rodzaj widowisk uważali słusznie za obrazę godności człowieczeństwa. Z drugiej znów strony żywe uczucie religijne nieszczęsnych ofiar, zupełny pokój umysłu, objawiana prawie radość z powodu czekającego męczeństwa za prawdę, nie pozostawały bez wpływu na umysły. Świeczniki chrześciaństwa, oświeciły rzeczywiście wiele umysłów, i niejedno serce uderzyło uczuciem szlachetniejszem miłości i braterstwa. W tem znaczeniu Neron przyczynił się wielce do upowszechnienia religii chrześciańskiej.

(d. n.)

Przegląd literacki.

Biblioteka Warszawska i Ateneum z I kwartału 1880 r. (Styczeń — Marzec).

(Dalszy ciąg).

Obok powyższego postawilibyśmy drugi artykuł historyczny p. t. „Przywilej żydowski (raczej przywilej dla żydów) Bolesława, i jego potwierdzenia, przez R.., (zeszyt marcowy). Rzecz to ciekawa, mająca posłużyć za przyczynek do „kwestyi żydowskiej,“ u nas i do jej historyi. Mowa tu o przywileju, wydanym żydom przez Bolesława Pobożnego, księcia wielkopolskiego w r. 1264 i następnie potwierdzanym wielokrotnie i rozciągnionym na całą Polskę przez wszystkich królów aż do Stanisława Augusta włącznie, w którym żydom dozwala się handel i pożyczanie pieniedzy. Ponieważ jednak w rozmaitych źródłach dziejowych znajduje się przytoczonych kilka redakcyi owego przywileju, znacznie pomiędzy sobą różnych, przeto autor na mocy specyalnej i drobiazgowej krytyki dochodzi do wniosku, że oprócz prawdziwego przywileju Bolesława, który przechował się w potwierdzeniu przez Kazimierza Wielkiego, był jeszcze drugi, *przez żydów sfałszowany*, prawdopodobnie za panowania Kazimierza Jagielończyka i wszystkim następnym królom do potwierdzenia podsunięty. Przytem żydzi sfałszowali właściwie mniemany przywilej Bolesławowski w potwierdzeniu Kazimierza W., samego zaś oryginału Kazimierzowi Jagielończykowi nie przedstawili, utrzymując, jakoby takowy został przez pożar w Poznaniu zniszczony. Nadto, autor wykrył świadectwa historyczne, dowodzące, że żydzi próbowali podsunąć do potwierdzenia ów sfałszowany przywilej już Władysławowi Jagielle i chcieli *przekupić* Zbigniewa Oleśnickiego, ażeby im do tego dopomógł, ale bezskutecznie. Różnica owego falsyfikatu, od prawdziwego przywileju Bolesławowskiego polega głównie na tem, że żydom dozwolono nietylko zabezpieczyć na dobrach szlacheckich swoje należności (co i przedtem było im dozwolonnm i zawarowanem w statutach), ale nawet obejmować za długi w swoje posiadanie same dobra szlacheckie, władać niemi *z zachowaniem wszelkich praw i juryzdykcyi*, szlachcie przysługujących, sprzedawać te dobra lub obracać je inaczej na swój użytek, nie ponosząc z nich ciężaru służby wojskowej. Tak tedy nie musieli być żydzi w dawnej Polsce tak uciśnieni i bezprawni—jak to opłakują dziś niektórzy—skoro potrafili podstępnie oszukiwać królów i używać wciągu lat przeszło 300 prawnie zapewnionych sobie przywilejów, przysługujących szlacheckim właścicielom dóbr.

Wspomniałem już powyżej o pracach pp. Dziedu-szyckiego i Kaszewskiego z dziedziny świata klasycznego. Pierwszy z nich ciągnie dalej rozpoczętą już dawniej rzecz „Cnota i występek,“ która jest próbką szkicu dziejów etyki starożytnej. zawierającą prawdzie rzeczy w ogóle elementarne, ale dla ogółu zajmujące, opowiedziane stylem żywym i barwnym, w formie lekkiej: mówi tu nam autor naprzód o stoikach i epikurejczykach, a potem o dniach konania świata starożytnego i o stopniowym tryumfie chrześciaństwa.

Bardziej może jeszcze elementarną jest praca p. Kaszewskiego, zatytułowana dosyć szumnie „Cycero, jako filozof i moralista. Wprawdzie ten przedmiot został już tak wszechstronnie opracowany i prawie wyczerpany od lat 300 przez uczonych europejskich, że trudnoby już zdobyć się na jeden nowy pogląd: nie żądamy też od pana K. poglądów oryginalnych; ale już raz obrawszy ten przedmiot, możnaby było ułożyć choćby kompilacyą z dzieł uczonych filogów, nieco w treść bogatszą i nie tak elementarną. Króciutki bowiem szkic autora ułożony został jedynie, jak się zdaje, wskutek przeczytania wydanych niedawno nakładem Działyńskiego przekładów dzieł Cycerona, a głównie na podstawie traktatu o obowiązkach (De officis).

Tak więc, powtarzamy, są pewne zaczątki większego niż dawniej, a raczej jakiegokolwiek zwrotu do nieprzebranej skarbnicy świata starożytnego: pozostaje tylko życzyć, ażeby w przyszłości było z tej dziedziny artykułów więcej, przy tem lepszych i gruntowniej przez specyalistów opracowanych.

Oto i cały zasób artykułów poważnych — cztery artykuły na trzy zeszyty, to trochę za mało—dodawszy jeszcze kronikę „Z dziedziny przyrodoznawstwa,“ o której wyrokować nie czuję się zdolnym, chyba pod tym względem, że, jak mniemam, prowadzoną jest niezbyt zajmująco, w sposób mało zdolny zainteresować profanów, stylem oschłym i ciężkim.

Z rodzaju pamiętników, środkującego między historyą a powieścią, mamy w zeszycie marcowym początek opowiadania p. t. „Od szkolnej ławy“ p. Kajetana Kraszewskiego. O całości mającej za przedmiot głównie wojny napoleońskie, wypowiemy swe zdanie, gdy zostanie ukończoną, początek zaś ułożony jest zręcznie i zajmująco, ale bez piętna oryginalności i o treści dość błahej. Typy wiarusów napoleońskich tyle już razy przedstawiano, że znamy zbyt dobrze te figury stereotypowe, a i tu nowych rysów nie napotykamy; obszernie zaś opisywane figle studenckie mogą zająć chyba podrostków.

Studyów literackich w roztrząsanych zeszytach mamy dwa: jeden o Kalewali, epopei fińskiej, przez F. Jezierskiego, drugi—o nowoodkrytych pieśniach ludowych bulgarskich, pióra B. Grabowskiego. Rzecz o Kalewali opracowana niezmiernie obszernie niemal rozwlekle, z analizą drobiazgową, często mglistą. Sam ów poemat, bez zaprzeczenia jest jednym z najciekawszych zabytków ludowych, ale wartość jego nieco przesadzono, zwłaszcza z powodu, że w epoce odkrycia tego utworu panował w poezyi europejskiej kierunek skrajno-romantyczny, który w „pieśni gminnej“ widział niedościgłe arcydzieło wszechstronnej doskonałości. Do wytworzenia pierwszorzędnej epopei ludowej, jak np. poemata homeryczne u Greków starożytnych, potrzeba bardzo wielu warunków, w liczbie których rozległość obszaru umysłowego, wysoka kultura, bogactwo przyrody i wyrobienie języka zajmują miejsce niepoślednie.

Otóż, czy ubogi i nieliczny naród fiński, o zacieśnionym horyzoncie duchowym, poprzestający w epo-

ce wytworzenia Kalewali na bardzo pierwotnej cywilizacyi, żyjący w kraju smutnym, biednym i zimnym, władający językiem niezbyt bogatym i pozbawionym giętkości języków aryjskich — czy taki naród mógł wydać coś równego Iliadzie, czy w pośród podbiegunowych finnów mógł urodzić się drugi Homor? Odpowiedź przecząca jest, według naszego zdania, niewątpliwą, i sądzę że każdy, przeczytawszy z upodobaniem artykuł p. Jezierskiego, chociaż nieco rozwległy i panegiryczny, dojdzie do tegoż przekonania — że Kalewala jest utworem udatnym i godnym uwagi, ale nie jest pierwszorzędną epopeją. Zresztą, autor artykułu potrafił w znacznej mierze uprzyjemnić swój wykład wyjątkami z wybornego przekładu Kalewali, dokonanego zdolnem piórem p. Duchińskiej.

Co się tyczy drugiego artykułu — p. Grabowski jeszcze nie skończył swego badania o autentyczności owych zadziwiających swoją ilością nowo odkrytych przez Werkowicza pieśni bulgarskich, które już tyle sprawiły wrzawy w prassie europejskiej, i o których podobno była już mowa i w naszym Tygodniku. P. Grabowski skłania się do uznania autentyczności owych utworów, chociaż odrzuca przesadne mrzonki Werkowicza i jego zwolenników o bulgarskiem pochodzeniu Orfeusza i Aleksandra macedońskiego i o wrzekomem pierwszeństwie starożytnej cywilizacyi bulgarskiej przed grecką.

Właściwą beletrystykę przedstawia w zeszycie lutowym udatna powiastka Karoliny Świetli p. t. „Ciotka Wawrzyńcówna," przełożona z czeskiego przez B. Grabowskiego. Oryginalnej powieści w rozbieranych zeszytach jeszcze nie ma; za to mamy tu niezmiernie długi, obszerny i rozwlekły „Przegląd literatury beletrystycznej za rok 1879" pióra pani Marrené. W tym gadatliwym obrazie, ciągnącym się przez wszystkie trzy zeszyty, autorka roztrząsa utwory niezasługujące, z wyjątkiem dwu powieści Kraszewskiego, na tak głębokie studya i tak drobiazgową analizę.

W zeszycie styczniowym, pod nagłówkiem „Przodownicy ruchu umysłowego w XVIII wieku" mamy rzecz o Wolterze, pióra Kaszewskiego. O tym filozofie fernejskim pisano już tyle, nawet u nas, zwłaszcza w jubileuszowym roku Woltera (1878), kiedy i w Bibliotece było wydrukowane obszerne o nim studyum, że doprawdy nie zdaje się nam aby względy literackie lub pożytek czytelników wymagały umieszczenia tego spóźnionego artykuliku, tem bardziej że, nie widzimy tu nic nowego. Zasługuje tylko na uwagę krótki wstęp artykułu, w którym autor przed oczy przyganiaczy nierządu polskiego stawia dosadny obraz niemniejszego nierządu, bezprawia i chaosu we Francyi za Ludwika XIV i XV, ułożony z dawnych historycznych, (po większej części z Cariera).

(d. c. n.)

Z kraju i z zagranicy.

U starożytnych rycerzy normandzkich istniéć miał zwyczaj iż po śmierci chowano ich na okrętach wraz z koniem, psiarnią i całym rynsztunkiem, poczem okręt wydobywano z wody, zakopywano na morskiem wybrzeżu i usypywano nad nim mogiłę. Pierwsze takie grobowce wykryto dopiero w r. 1863 w Szlezwigu, następnie w r. 1867 w Tune, w Norwegii. Odkopano z pod nasypu tułów okrętu mający 74 stóp długości, a 16 szerokości. Na okręcie znajdowały się małe czółna, pięknie rzeźbione wiosła, ster i maszty, resztki żagli, żelazne naczynia, kości ludzkie, końskie i psie, i szczątki różnych ozdób. Zdaje się jednak, iż grobowiec ten był już ograbiony, ponieważ znaleziene kości były porozrucane, i pomimo iż podania twierdzą, że wraz ze zwłokami rycerzy grzebano różne należące do nich kosztowności, w grobowcu tym żadnych nie znaleziono. Nad rozkopanym kurhanem i wydobytym z pod ziemi okrętem, postawiono szopę dla zabezpieczenia od zniszczenia, a niektóre znalezione drobne przedmioty złożono w Muzeum w Chrystyami. Według zdania archeologów, zabytki te sięgają dalekiej przeszłości, gdyż liczą około tysiąc pięćset lat wieku.

— Powstała od lat dwóch w Anglii sekta religijna wymyślona i utworzona z samych kobiet p. n. *„Armii Zbawienia"* zamierza obecnie dokonać duchowego podboju Irlandyi, za pomocą jedynie potęgi słowa uderzającego bezwzględnie na wszystko złe nurtujące w społeczności. W tym celu zobowiązując się żyć same jak najmoralniej, mają wciskać się we wszystkie warstwy społeczne, apostołować ustnie, pisać odpowiednie artykuły do pism peryodycznych i wydawać oddzielne broszury wygotowane z uczuciem miłości ewangielicznej i braterstwa.

W głównej kwaterze armii odbyła się obecnie uroczystość rozdania chorągwi pułkom przeznaczonym do wyprawy. „Jenerał" pani Brook, przewodnicząca zgromadzeniu, miała przemowę, wypowiedzianą dźwięcznym głosem; mowiła o sławie i chlubie czekającej dzielne wojowniczki, które wyséła w celu rozkrzewienia zasad „armii zbawienia". Dawniej do armii tej należały same niemłode bohaterki, dziś liczy w szeregach swoich śliczne, młode dziewczęta. Dzielne amazonki wysłuchały z poszanowaniem przemowy „dowódzcy" poczem rozległy się głośne wiwaty.

Chorągwie te są jedwabne, haftowane ładnemi rączkami samychże dygnitarek. Rozdawanie chorągwi odbywało się ze zwykłym w wojskach ceremoniałem. Zdaje się że nowe te „krzyżowniczki" obrały Belfast za punkt operacyi, skąd mają rozejść się po wszystkich krajach *bez broni* jak niewinność, gdyż walczą i pokonywają jedynie za pomocą słowa, pieśni i modlitw, które nieustannie mają śpiewać i odmawiać, przeciągając procesyonalnie po ulicach. „Jenerał" zapowiedziała, że gotuje większą wyprawę na wybrzeża Bretonii, skąd, zawsze śpiewając pomaszeruje armia do Paryża. Ciekawa rzecz jakie ją tam oczekuje przyjęcie.

— Na wyspach Sandwich wydano obecnie *Kalendarz i rocznik hawajski na rok 1880.* Broszura ta obejmuje 76 stronnic, oprócz ogłoszeń. Ostatnie świadczą o postępie wyspiarzy których przodkowie przed stu zaledwie laty zamordowali kapitana *Cooke'a*, a potomkowie ich dziś jako adwokaci, aptekarze, zegarmistrze, pasztetnicy, restauratorzy i wszelkiego rodzaju handlarze i przemysłowcy, drukują równie liczne i kosztowne reklamy, jak ich pierwszorzędni koledzy europejscy z krajów, których cywilizacya sięga dziesiątka wieków. Według tych ogłoszeń nie ma przedmiotu, któregoby nie dostał w Honolulu. W kalendarzu oznaczono znaczną liczbę świąt, między któremi objęto nowy rok chiński i dzień urodzin królowej Wiktoryi.

Opis Ryciny Kolorowéj.

Ubranie z ciemno ponsowego kretonu gładkiego i w muszki. Stanik fałdowany przepasany paskiem, garnirowany plisowaniem z żółtawej *crêpelisse;* tunika i spódnica oszyte koronką. Parasolik i woreczek „Pompadour" z tego co suknia materyału, kapelusz biały słomkowy, ubrany koronką, ciemno ponsowym aksamitem i słomkową torsadą.

Ubranie do kąpieli z płaszczem z materyału „Ruber" ozdobione naszyciami i plisą z sukna ponsowego.

Ubranie do kąpieli z flanelki w paski szafirowe i białe, oszyte koronką „trimming". Trzewiki z szarego płótna, sznurowane szafirową tasiemką, czepek z jasnej ceraty ubrany wełnianą szafirową taśmą.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pan. Zofii P. Wierszykowi pod względem formy nie zarzucić nie można, ale rozpacz szukająca pociechy w ostrzu sztyleta, w dnie bystrej rzeki, lub w zwodnym wirowym świecie pojącym czarem na chwilę, nie jest godną skargi poetycznej, rymowym ułożonej wierszem.

Pani Maryi B. w Golakowku. Książki na zasiłek spalonej biblioteki w Irkucku można przesłać do naszej redakcyi.

Pan. Romanii K. w Sielnicy. Z powodu nieprzysłania adresu, za pośrednictwem Tygodnika donosimy, że rękopism odebrany zostanie i we właściwym czasie wiadomość o nim podamy.

H. Autorowi zadań arytmetycznych do Przyjaciela. Trzy zadania dobrze ułożone ogłoszone zostaną: pierwsze jest źle objaśnione i błędnie rozwiązane.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 29 Іюля 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 33 r. 1880.

W JESIENI ŻYCIA.

PRZEZ

Klarę de Chandeneux,

przekład

K. P.

(Dalszy ciąg).

XVIII.

Pewnego dnia rano Rovelou zjawił się niespodziewanie z silnem postanowieniem zabrania z sobą siostry do domu, bez względu na jej łzy i prośby.

Ludwika prosiła tylko o kilka godzin czasu, niezbędnych do upakowania rzeczy, ale łzy tak jej zasłaniały oczy że do niczego nie mogła trafić, i nie dałaby temu rady, gdyby Emelina nie dopomagała jej, i nie pocieszała ukrywając swój własny smutek.

Kapitan przepędził te kilka godzin w pałacu de Madiran, czuł się tam swobodniejszym, niżeli w tym ponurym pomimo swej okazałości gmachu, gdzie milcząca rozpacz hrabiny zasępiała wszystko co ją otaczało.

Robert powitał go z radością, nietylko jako człowieka szczerze mu życzliwego, ale także jako wspomnienie chwil spędzonych w Accroches, najmilszych w jego życiu.

— Wybacz panie Robercie, rzekł Rovelou, ściskając może zbyt silnie jego rękę w swych kościstych palcach, jeżeli powiem że życie paryzkie nie służy ci widocznie. Zbladłeś, schudłeś, a w oczach twoich maluje się smutek niewłaściwy w twoim wieku!... Do licha!... bawiąc w naszych stronach byłeś tak ślicznym, świeżym i żwawym chłopcem! Do tysiąca miliardów głów murzyńskich!... gdybym był pewnym że to ta szatańska córka stolica, tak szkodliwie wpływa na ciebie, gotówbym porwać cię ztąd gwałtem.

— Nie, kochany kapitanie, nie przeklinaj Paryża, odpowiedział z uśmiechem Robert, są to skutki.. pracy.

— Pracy!... A po cóż tak pracujesz panie Robercie? Pozostaw to nam, którym to jest niezbędne. A! więc to praca!... W takim razie najlepiej powyrzucać te książeczyska; ot tak.

I na pół żartem, na pół serjo, wziął jedną z książek leżących przed Robertem i zaczął nią bujać przez otwarte okno. Robert powstrzymał go nie tyle przez wzgląd na książkę, jak przez troskliwość o rosnące pod oknem kwiaty.

— Szanuj moje kwiaty, Rovelou, w tym roku mają one nam zastąpić wszystkie przyjemności wiejskie.

— Więc nie myślisz przepędzić lata w Szampanii.

— Nie, odpowiedział z roztargnieniem Robert

— Byłem tego pewnym... To Paryż tak cię przykuwa do siebie, panie Robercie.

— O! nie Paryż! odpowiedział mimowolnie Robert.

Oczy jego śledziły jakiś cień przesuwający się po za gęstemi gałęziami drzew w ogrodzie pani d'Anglejean; ale hrabina zasłoniła się teraz tak starannie murem z dzikiego wina, bluszczu, i innych roślin pnących, że tylko sercem można było odgadnąć imię przechadzającej się tam osoby.

Jednak twarz Roberta rozjaśniła się nagle, i nigdy astronom nie śledził uważniej biegu świeżo odkrytej gwiazdy, jak on każdego poruszenia migającej się przed jego oczyma białej sukienki.

Kapitan zbliżył się także do okna, nie dostrzegł białej sukienki, ale musiał przyznać że „więzienie hrabiny“ jak nazywał, było trochę weselsze od ogrodu jak od dziedzińca.

— I tu nie bardzo wesoło, odezwał się, ale przynajmniej jest trochę powietrza i zieloności, a są to bardzo miłe dary Boże... tam zaś te grube żelazne kraty smutne czynią wrażenie. Biedna panna Emelina!... tak ją kochamy... a jednak pozostawiamy ją w tem więzieniu!...

— I pozbawiasz ją jedynej pociechy, zabierasz Ludwikę, rzekł Robert ze smutkiem.

— A! panie Robercie, gdybyś widział jak ta poczciwa matka podupadła na siłach od czasu twojej bytności, przyznałbyś sam że Ludwika powinna do niej wrócić.

— Ale Emelina?...

— Kochany panie Robercie, wszyscy powinni pomagać sobie wzajemnie... Twój zacny ojciec jest przyjacielem domu... Gdybyś i ty także... gdybyś prosił... no! gdybyś uwolnił pannę Emelinę z tego przykrego więzienia zostając jej mężem...

Zaledwie kapitan wypowiedział te słowa, zmięszał się i zaczerwienił, czując jak dalece podobne odezwanie się było niewłaściwem.

— Przebacz mi panie Robercie, zawołał, muszę być szalonym skoro poważam się mówić w ten sposób o pannie Emelinie, bez jej zezwolenia... i występować do ciebie z taką radą nie wiedząc... czyli raczej, skłoniło mnie do tego głębokie przywiązanie do panny Emeliny... Wzrastała w naszysh oczach... mówiliśmy nieraz o tem że ten kto się z nią kiedyś ożeni pozyska skarb prawdziwy... Słowem, może mówiąc to popełniłem niedorzeczność, ale wypowiedziałem tylko to co myślę.

W każdym innym razie podobny sposób tłomaczenia się byłby pobudził Roberta do śmiechu, teraz przeciwnie wzruszył go głęboko, jako dowód szczerej przyjaźni kapitana, który widział szczęście Emeliny w ziszczeniu tych życzeń swoich.

— Zacny mój przyjacielu, rzekł drżącym głosem; wypowiedziałeś, nie wiedząc o tem, najgoretsze, ale zarazem najtrudniejsze do spełnienia życzenie mego serca!

— Panie Robercie!...

— Zostać mężem Emeliny! to dla mnie jedyny i niezbędny warunek szczęścia.

— A więc, do tysiąca miliardów głów murzyńskich! ożeń się z nią panie Robercie.

— Ale zarazem jedyny o który ubiegać mi się nie wolno.

— Czemu? Tego doprawdy nie rozumiem.

— Czy przypominasz sobie ten dzień, w którym wsiadłem na twój statek, smutny i zniechęcony?

— Czy sobie przypominam?... Zamierzałeś płynąć do Royan, ale Ludwika postarała się o to abyś zatrzymał się w Accroches.

— W tym dniu; kochany kapitanie, zdawało mi się że jestem bardzo nieszczęśliwym.

— Prawda, można było nawet domyśléć się tego z wyrazu twarzy... dziś jednak jest to jeszcze widoczniejsze.

— Bo też ogromna zachodzi różnica między temi dwoma cierpieniami. Wtenczas rozpaczałem za bańką mydlaną, która mi się rozprysnęła w ręku; dziś cierpię głęboko i prawdziwie z żalu za szczęściem którego pozyskać nie mogę, a wyrzec się nie potrafię.

— Wszystko to jest dla mnie niezrozumiałem; nie pojmuję jakim sposobem panna Emelina ..

— Emelina jest córką kobiety, która tak mnie potrafiła złudzić swą udoskonaloną za pomocą sztuki pięknością, i fałszywą młodością, że ją pokochałem... jak mi się wówczas zdawało.

— A! jakież to nieszczęście, panie Robercie, że nie przyjrzałeś jej się lepiej.

— Jakże teraz mogę oświadczyć się tej kobiecie o rękę jej córki, skoro ta miałaby prawo odpowiedzieć: „Wszakże kiedyś starałeś się pan już o moją rękę.“ Czy zrozumiałeś mnie teraz kochany kapitanie?

— Tak, zrozumiałem, że biedna panna Emelina będzie zawsze ofiarą próżności i samolubstwa matki, jeżeli Opatrzność się w to nie wmięsza.

Robert zamyślił się głęboko, i upłynęło kilka minut zanim jego poczciwy powiernik ośmielił się przerwać mu te smutne zadumanie.

— Czy pozwolisz panie Robercie, abym ci wypowiedział moje zdanie.

— I owszem, kochany Rovelou.

— Według mnie jest to drażliwość i delikatność zadaleko posunięta, i widzę że w Accroches zupełnie inaczej zapatrują się na te rzeczy jak w Paryżu. U nas, kiedy ktoś ma naprzykład beczułkę wina do sprzedania, stawia ją przed drzwiami, a nad nią umieszcza tabliczkę z napisem: „Dobre wino po tej a tej cenie.“ W takim razie każdemu wolno zbliżyć się i targować, jeżeli zaś ktoś spostrzeże że wino złe a ogłoszenie fałszywe, odchodzi nie wstydząc się bynajmniej tego że się pomylił, bo wstyd cały spada na oszukującego. Toż samo da się zastosować i do tej wdowy która udawała że ma dwadzieścia kilka lat, i zbliżano się do niej; ale że miała rzeczywiście czterdzieści, odrzucała konkurentów, aby nie była zmuszona przyznać się do swego prawdziwego wieku. Któż tu zawinił w tym razie? Czy ta co wystawiła zuchwale szyld fałszywy, czy też ten co mu zawierzył?

— Hrabina nie przebaczy mi nigdy krzywdy którą mi wyrządziła, odpowiedział Robert.

Służący przyszedł oznajmić kapitanowi że siostra już czeka na niego. Rovelou wyszedł natychmiast, zasmucony tem czego się dowiedział, a co mogło stać się powodem nowych cierpień dla Roberta i Emeliny.

Robert pośpieszył za nim do pałacu d'Anglejean aby pożegnać siostrę kapitana, i zastał ją w sieni gdzie zamykała już upakowaną walizkę.

— Ah! drogi panie Robercie, zawołała z żywością, spostrzegłszy go: miałam właśnie pójść do pana, zapewnić go o mej dozgonnej wdzięczności, po-

żegnać... doprawdy, wstydzę się tego że dozwoliłam wyprzedzić się panu, że...

Robert przerwał jej zapewniając że nie wątpi o jej szczerej życzliwości dla niego, i uścisnął jej rękę; ale tego jej nie powiedział że go tam przywiodła nie sama tylko chęć pożegnania się z nią, ale i nadzieja że zobaczy Emelinę. I nie omylił się, weszła wkrótce niosąc w koszyczku zapasy żywności na drogę.

Powitawszy go, wskazała mu Ludwikę, i rzekła ze łzami:

— Jakaż to boleść dla nas obydwóch!... pozostawia mnie samą!

Robert pragnąłby ją zapewnić że pozostanie jej inne serce, zdolne do wszelkich dla niej poświęceń, przepełnione najgłębszem uczuciem, ale to nie było mu dozwolonem, a więc wyraził jej to tylko spojrzeniem pełnem tkliwości i współczucia, a Emelina zrozumiała go zapewnie.

Poczciwy Rovelou któremu tak pilno było zabrać do domu Ludwikę, teraz zaczynał żałować tego. Przeczuwał że wraz z wyjazdem jego siostry, młoda para straci wszelką sposobność spotkania się z sobą choćby czasem i na krótką chwilę. Z pewnością, gdyby „ta kochana stara mątka" nie miała już osiemdziesięciu lat, i gdyby z każdym dniem nie było jej trudniej zajmować się gospodarstwem, nigdy, nigdy, nie pozbawiłby panny Emeliny towarzystwa Ludwiki, ani też Roberta przyjemności rozmawiania z Ludwiką o Emelinie. Teraz nie ma na to rady trzeba odjechać.

Wyraził nieśmiało życzenie powitania i pożegnania hrabiny. Emelina wstrząsnęła głową z wyrazem zniechęcenia.

— Niepodobno, kochany kapitanie, matka moja nie chce widzieć nikogo. Najlepszym dowodem niezłomności tego jej postanowienia jest to, że nie widziała i nie chce nigdy widzieć tego, który ją wyratował z płomieni.

— Wyratowawszy mnie przed tem z wody!... odezwała się Ludwika; pan Robert nie zważa na niebezpieczeństwo kiedy trzeba pośpieszyć komuś na ratunek.

— Jeżeli tak, to do tysiąca miliardów głów murzyńskich, zwijam flagę nie nalegając dłużej!... Bądź zdrowa, panno Emelino; kiedyż my się zobaczymy?

— Kiedy się podoba Bogu.

— Jeżeli ci kiedy będzie potrzebne silne ramię, pomyśl o kapitanie Rovelou, on pośpieszy natychmiast na twoje wezwanie.

— Nie zapomnę o tem, kochany kapitanie.

— A jeżeli zechcesz znaleźć kochające cię szczere serca, przyjedź do Accroches.

— O! mam nadzieję że Bóg pozwoli mi odwiedzić was kiedyś.

— Zanim to nastąpi, mówił dalej Rovelou, znajdziesz tu, kochana panno Emelino... to jest znam pewne serce, warte więcej niż dziesięć innych, a szczerze tobie oddane!... gotowe na każde twoje skinienie rzucić się w ogień lub wodą... uczynić dla ciebie wszystko co człowiek uczynić może...

— Wasze mi wystarczają, przerwała mu zmuszając się do uśmiechu Emelina, której twarz silnym pokryła się rumieńcem.

Jednocześnie Robert wyrazistem spojrzeniem, dał do zrozumienia kapitanowi, aby przestał o tem mówić.

— A! do tysiąca miliardów!... widzę że się zanadto rozgadałem. Przebacz mi panno Emelino, mówiąc to miałem tylko twoje szczęście na celu. Prócz tego zawsze mi się zdaje że jesteś jeszcze tą małą panienką z Accroches, która tak chętnie przyjmowała moje rady.

Złożył na jej czole prawdziwie ojcowski pocałunek, otarłszy pierwej starannie swoje siwe wąsy, a czując że mało do tego „brakuje aby i on nie zaczął płakać wraz z innymi, pożegnał się prędko i odszedł.

Ludwika wskoczyła do fiakra z głośnem łkaniem, a biedna Emelina usiłująca okazać się aż do końca mężną, aby nie powiększać smutku swych przyjaciół patrzyła za nimi przez łzy zaćmiewające jej oczy.

Stała przez kilka minut nieruchoma, zatopiona w gorzkich myślach, a Robert obawiał się zdradzić swej obecności, nawet najlżejszem poruszeniem.

— Wszak i pan wyjeżdża wkrótce? zapytała, zwracając się nakoniec ku niemu.

Zadrżał. Byłże to rozkaz oddalenia się? Czy to pytanie wyrażało jej życzenie, czy też obawę?

— Odkładam mój wyjazd z Paryża od tygodnia do tygodnia, odpowiedział wymijająco.

— Wiele zawdzięczam przyjaźni pana de Madiran, bardzo wiele także panu, ale nie chcę być egoistką. Ojciec pana wyrzeka się dla nas pobytu na wsi, a pan zamierzonych podróży... Nie mogę przyjmować dłużej takiej ofiary.

— Nadzieja że może zdołamy choć cokolwiek osłodzić bolesne położenie pani, uszczęśliwia zarówno mnie jak i mojego ojca.

— Wierzę temu, cieszę się tem, ale nie mogę pozwolić aby to trwało dłużej.

— Więc pani nas odpycha od siebie!

— A! jakże można powiedzieć coś podobnego!... Mam przed sobą wytkniętą już drogę... Tam gdzie matka moja zamknęła się na całe życie i moje także upływać powinno. Odsunęła się od świata, podzielać będę jej samotność. Niech pan sam powie, czy byłoby to szlachetnie z mej strony, dla zapewnienia sobie pociechy w tak głębokim osamotnieniu, zgadzać się na ciągłe i długo trwające ofiary, które panowie chcą czynić dla mnie.

— Mogę to tylko odpowiedzieć pani, że ojciec mój wczoraj jeszcze oświadczył stanowczo, że w żadnym razie nie odstąpi pani.

— Ja też nie odrzucam jego opieki...

— I słusznie czynisz, drogie dziecię!... odezwał się pan de Madiran, który wszedł bocznemi drzwiami, to jest jedynemi jakiemi można było wejść, odkąd na rozkaz pani domu zaryglowano na zawsze drzwi główne.

— W sam czas przybywasz ojcze, zawołał Robert żywo. Właśnie mówiliśmy o tobie.

— Domyślałem się poniekąd tego. Niechże się dowiem jakie to spiski przeciwko mnie knujecie?

Weszli do ogrodu i zapuścili się w zacienioną ulicę. Emelina powtórzyła to co już powiedziała Robertowi, który oburzał się patrząc jak ojciec potakiwał poruszeniem głowy każdemu jej słowu.

— Wszystko to co powiedziałaś, moje drogie dziecię, odpowiedział, gdy mówić skończyła pan de Madiran, jest dowodem twej nieocenionej dobroci, która każe ci zawsze zapominać o sobie. Chcesz pozostać sama w tym odludnym domu, sama spełniać ciężkie obowiązki, sama nieść ulgę goryczą przepełnionemu sercu, bo ci się zdaje samolubstwem zatrzymywać przy sobie tych co cię kochają, mnie i mego syna.

— Tak, odpowiedziała cicho rumieniąc się.

— Zapewniam cię, moje dziecię, że czułbym się nieszczęśliwym, gdybyś mi nie dozwoliła wziąść żadnego udziału w twojem poświęceniu. Powiedz mi, jakie ja, starzec siedmdziesięcioletni mogę jeszcze znaleźć sobie zajęcie, skoro ty odrzucisz moje usługi? Jedynie osoba tak mało wymagająca jak ty panno Emelino może znaleźć jakąś przyjemność w towarzystwie człowieka w tak podeszłym wieku i przyjąć jego pomoc w zarządzeniu domem. Mnie to rozwesela i poniekąd odmładza, bo mi się zdaje że jestem jeszcze potrzebnym na świecie skoro mogę ci być użytecznym. Pozostaw mi więc to złudzenie i nie wysyłaj do Szampanii, gdzie nie jestem potrzebnym nikomu.

— A! drogi panie, łatwo mi będzie zastosować się do tego życzenia. Ja tak potrzebuję rady i opieki pana, że musiałam wiele pracować nad sobą, aby wyrzec się tak nieodzownej dla mnie pociechy i pomocy.

— A więc wszystko będzie dobrze. Ja nie miałbym co robić na wsi, której przyjemności zastąpią mi nasze dwa ogrody, twój opiekun pozostanie więc przy tobie, i z prawdziwą radością będzie ci i nadal radził i pomagał. Nie przestanę korzystać z nieocenionego przywileju dozwalającego mnie tylko samemu wchodzić do tego pałacu, i także sam tylko...

— Sam tylko! przerwał z goryczą Robert, zdaje mi się, kochany ojcze, że zadaleko posuwasz zamiłowanie monopolu. Zakładam opozycyę.

— Byłoby to niewłaściwem.

— Niewłaściwem!

— Tak, musisz wkrótce wyjechać, jak to słusznie powiedziała panna Emelina; idzie tu o twoją przyszłość.

— A! widzę, mój ojcze, że podwójną miarką mierzysz, zawołał popędliwie Robert.

— Robercie!

— Dlaczegóż mój ojcze, to co ci się zdaje tak naturalnem, tak pożądanem dla ciebie, nie mogłoby być zarówno właściwem i pożądanem dla mnie?

— Dla tego, mój biedny synu, odpowiedział pan de Madiran głosem poważnym, prawie uroczystym, że nie wolno ci upominać się w tym domu o najmniejszą nawet cząsteczkę szczęścia. Panna Emelina chce się całkiem poświęcić matce; tobie zaś obowiązek nakazuje oddalić się ztąd, bo nadzieje twoje są tak niepewne, tak dalekie że zaledwie w przyszłości mogą być spełnione.

Dobry ten ojciec nie bez celu wypowiedział te surowe i rozumne słowa, ukazywał tej młodej parze nadzieję szczęścia w przyszłości, aby mężniej znosili teraźniejszość tak smutną dla nich.

Zrozumieli tę myśl jego oboje, ale dla Roberta słowa pana de Madiran miały jeszcze inne, ukryte dla Emeliny znaczenie. Uważała to za rodzaj przepowiedni, i nie badając o wyjaśnienie przeszłości, z ufnością zwracała się do przyszłości.

Jednak Robertowi tak ciężko było opuścić Paryż, gdzie przynajmniej był blizko Emeliny, i mógł ją zobaczyć choć czasem zdaleka, że chciał z ust jej usłyszyć potwierdzenie lub odwołanie tego rozkazu.

— Czy pani podziela zawsze zdanie mojego ojca, że koniecznie wyjechać muszę? zapytał takim tonem jakby ją błagał o zmianę tak ciężkiego wyroku.

— Tak, podzielam, odpowiedziała stanowczo choć z wyrazem smutku, i nie ukrywając wzruszenia.

— A czy pani sądzi także że mogę wierzyć w przyszłość?... czy pani upoważnia mnie do ufności w tę szczęśliwą przyszłość, o której wspominał mój ojciec?

Spuściła zarumieniona oczy, a usta jej nieumiejące kłamać, wyrzekły jedno tylko słówko:

— Upoważniam!

Robert czuł że otrzymawszy taką obietnicę nie ma prawa żądać już nic więcej; że popełniłby zły uczynek niepokojąc ją dłużej, starając się wyzwolić od smutnej konieczności rozłączenia.

W kilka dni potem wyjechał jako wice-konsul do Saint-Sebastien, przekonany że Hiszpania i jej hidalgowie wydadzą mu się nieznośnemi, a wszystkie kobiety z prowincyi Guipuzcoa przerażająco brzydkiemi.

XIX.

Hrabina d'Anglejean miała w charakterze wiele stanowczości, ale wytrwałości bardzo mało. Zmieniała co chwila miejsce pobytu, i uważałaby to sobie za prawdziwą męczarnię. gdyby była zmuszoną przeżyć dwa lata w jednym mieście. Można więc domyśléć się w jak rozpaczliwem musiała znajdować się usposobieniu, skoro postanowiła zamknąć się na zawsze w swym pałacu. Był to dowód wielkiej odwagi lub prawdziwe szaleństwo.

Cezaryna sądziła jak widać że posiada potrzebną do tego odwagę i wytrwałość, a zresztą wolała wyrzec się wszystkiego niżeli narażać się na tak bolesne upokorzenie, aby ci którzy podziwiali jej nieporównaną piękność, mieli teraz zobaczyć ją tak strasznie zeszpeconą, odsunęła się więc na zawsze od tego świata do którego dawniej tak namiętnie była przywiązaną że nie umiała żyć zdala od niego. Teraz pragnęła równie gorąco aby o niej zapomniano jak dawniej aby być pierwszą zawsze i wszędzie. Niestety! jakże prędko spełniło się to jej życzenie!

Przez kilka tygodni mówiono o pożarze w pałacu d'Anglejean, o dzikiem usposobieniu hrabiny spowodowanem utratą piękności, i użalano się nawet nad nią, bo jakże to smutno zostać nagle i wbrew swej woli odsuniętą ód świata, kiedy można jeszcze było zajmować na nim niepoślednie stanowisko, a nadewszystko wydawać świetne bale.

Z drugiej jednak strony, hrabina miała już czterdzieści lat, wkrótce zapewnie wyda córkę za mąż, zostanie babką, więc i tak niedługo musiałaby się wyrzec tańca i innych podobnych rozrywek niewłaściwych już w jej wieku. Niepodobno było przecie rozczulać się wiecznie nad nieszczęściem kobiety która jak meteor zabłysła nagle w Paryżu, i znikła także jak meteor szybko. Zastąpi ją ktoś inny!

W trzy miesiące później wszyscy zapomnieli już o Cezarynie, z wyjątkiem Gustawa i baronowej d'Astiville. Ci przynajmniej myśleli o niej ciągle, pomimo że ich także nie przyjmowała u siebie, a może właśnie dla tego że ich przyjmować nie chciała, co niepokiło ich bardzo.

Cezaryna która nie lubiła ich nigdy, skorzystała teraz ze sposobności uwolnienia się od wizyt niemiłej kuzynki, i pozbycia się pretendenta do ręki córki, która teraz stała jej się tak potrzebną, że nie chciała nawet myśléć o tem aby się z nią kiedy rozłączyć miała.

Jednostajne, niczem nie urozmaicone życie zaraz w pierwszych dniach ciężyć jej zaczęło. Rozrywki które sobie zapewnić chciała już od początku okazały się niemożliwemi.

Aktorzy, chociaż hojnie opłacani, grali niedbale widząc koło siebie tylko same ściany. Śpiewacy śpiewali niechętnie, jakby zmuszeni, w pustej sali, w której nie miał kto wynagrodzić ich oklaskami. Stosy pism peryodycznych, których nawet karty nie były przecięte, leżały na stole obok pism codziennych z nienaruszonemi opaskami. W powieściach i romansach opisywano bale, zabawy, piękne kobiety, i Cezaryna czytać ich nie chciała.

Kiedy Emelina grać zaczęła z pod jej palców płynęły dźwięki, wyrażające wiernie wszelkie wzruszenia duszy, a że Cezaryna nie była pewną tego że ma duszę i nie lubiła wszelkich wzruszeń, kazała na klucz zamknąć fortepian, a melodykon odwrócić do ściany.

Gniewały ją pisma poświęcone modom: ona nie mogła już z nich korzystać. Sam widok drogocennych jej klejnotów i koronek któremi tak pyszniła się dawniej, doprowadzał ją do najstraszniejszego rozdrażnienia, już teraz były dla niej nieużyteczne. Rozmowa ją nudziła, tem więcej że jedyne osoby z któremi prowadzić ją mogła, nie umiały, pomimo najlepszych chęci zastosować się do jej gustu.

Dnie wlokły się wolno, posępne, jednostajne, nigdy żadnej zmiany, nigdy nic niespodziewanego. Że była zbyt osłabioną aby chodzić mogła, Emelina woziła ją w fotelu na kółkach po ogrodzie, wtenczas patrzyła bezmyślnie na drzewa zaczynające już przybierać barwy jesienne, potem wchodziła do cieplarni, i gniewała się że znajdujące się tam egzotyczne rośliny nie rozrastają się tak bujnie jak w Antylach, następnie wracała do pokoju i spędzała resztę dnia siedząc bezczynnie, pogrążona w posępnem zamyśleniu.

Trudno byłoby sobie wyobrazić coś przykrzejszego nad widok tej kobiety ubranej w suknie zbyt przestrone w przekonaniu że tym sposobem ukryje swoje wychudnięcie, z rąk ani na chwilę nie zdejmowała rękawiczek, na głowę zarzucała gęstą czarną koronkę dla przysłonięcia przeświecających białych włosów, które skutkiem tak gwałtownych wstrząśnień nagle siwieć zaczęły. Oczy jej błędne rzucały spojrzenia, usta zacięte milczały, twarz posępny przybrała wyraz. O przeszłości z żalem tylko myśléć mogła, o przyszłości z rozpaczą! Dręczyły ją gnębiące, śmiertelne nudy; nic zabawić, nic rozerwać jej nie mogło; rozczarowana w niczem najmniejszej nie znajdowała przyjemności. Daremnie Emelina wysilała się na wesołość i łamała sobie głowę czemby ją zabawić, otaczała nieustającemi dowodami najtkliwszego przywiązania, nic nie zdołało ani na chwilę rozpogodzić czoła, nic ożywić żywej nieboszczki.

Aby w tem prawdziwem więzieniu nie poddać się odrętwieniu i nudom jakie ogarnęły matkę, Emelina starała się ciągle być zajętą jakąś pożyteczną pracą; czytanie i robótki na korzyść biednych zapełniały długie, wolno wlokące się godziny, jedynie odwiedziny pana de Madiran jaśniejsze nastręczały jej chwile. Starzec ten i młodę to dziewczę coraz więcej przywiązywali się do siebie. On gorąco pragnął aby jak najprędzej została jego synową, ona może już w głębi duszy nazywała go ojcem. On spełniał chętnie względem niej wszelkie obowiązki rodzicielskie, ona z radością ojcowskie nadawała mu prawa.

Cezaryna patrzyła na nich pięknemi zawsze oczami ale pozbawione wszelkiego wyrazu, nie pojmując jak mogą znajdować jakąś przyjemność w rozmowie o przeszłości która już zamarła; ona w wspomnieniach nawet nie mogła szukać pociechy bo pamięć świetnych tryumfów podwajała straszną gorycz teraźniejszości. Jakżeby pragnęła zatrzéć dawne wspomnienie tak w swojej jak w innych pamięci!... w rzeczywistości sama nie wiedziała teraz czego chce, — umysł pozbawiony bussoli szamotał się w próżni i znów w najstraszniejszą zapadał apatję. Wtem list pani d'Astiville spowodował chwilowe ocknienie.

Fałszywa ta kobieta użalała się rzewnie że i dla niej jakby dla obcej i obojętnej drzwi pałacu d'Anglejean pozostawały zamknięte, zaklinając aby ją dopuszczono do szczupłego rodzinnego kółka za którem tak serdecznie tęskni. I w jej domu smutek zagościł; syn jej złamany niezwalczonem uczuciem, upadał pod brzemieniem tajonej rozpaczy. Pan d'Astiville czuł się coraz słabszym, a ostatnie jego chwile zatruwał opór Gustawa nie mogącego się odważyć na spełnienie życzeń ojca, aby ożenił się przed jego śmiercią, gdyż stary marynarz dowiedziawszy się o odmowie Emeliny którą tak pragnął mieć synową, nakłaniał koniecznie syna aby inny uczynił wybór. Ale Gustaw nie był zdolny postąpić sprzecznie z uczuciami swego serca, i to zatruwało spokój domowy. A ona biedna strapiona niezadowolnieniem męża i rozpaczą syna, jednego uspokajała, drugiemu dodawała odwagi a czując że zbraknie jej sił dłużej spełniać to zadanie, błagała o poparcie i pomoc. Długi ten i napuszony list kończył się prośbą aby synowi jej zostawiono choć blady promyk nadziei, gdyż inaczej wstąpi do któregoś z pułków konsystujących w Afryce.

Trzeba była podobnego listu aby hrabina otrząsnęła się ze swego odrętwienia.

Przejął on ją zarazem obawą i gniewem. Niegodziwcy ci spiskowali wyraźnie przeciw jej spokojowi; licząc na bliską pełnoletność Emeliny, pragnęli otumanić ją przedstawianiem głębokiej miłości i rozpaczy Gustawa, i wyzyskawszy tym sposobem jej zgodzenie się na ten związek, pozbawić ją tak nieocenowanej garde-malade.

Obawa ta skłoniła do okazania córce jakiegoś niby zaufania po raz pierwszy w życiu, dała jej więc list do przeczytania, zapytując co ma odpowiedziéć. Emelina zrozumiała odrazu że matce o to tylko chodzi aby nie zostać pozbawioną jej usług, chcąc więc uspokoić ją zupełnie odpowiedziała z prostotą:

— Nie mogę i nie powinnam iść za mąż, dopóką tobie, matko jestem potrzebna.

Hrabina odetchnęła lżej, chciała jednak utwierdzić się czy może liczyć na niezłomność tego postanowienia.

— Moja kochana, powiedzą ci że za młoda jesteś aby cię tak zagrzebywać żywcem, i dasz się przekonać.

— Któż mógłby mi to powiedzieć; nie przypuszczasz pewnie, matko, aby tak odezwał się jedyny nasz przyjaciel, pan de Madiran.

— Nie on, ale z pewnością rodzina d'Astiville.

— Nie widujemy ich przecie.

— Znajdą oni sposobność zobaczenia się z tobą.

— Gdyby nawet to nastąpiło to tylko w twojej obecności.

— Czy pewna jesteś że nie będziesz żałować tego nierozważnego postanowienia?

— Nigdy nie powinno się żałować spełnionego obowiązku.

— Wierzę temu zresztą, dopóką kusicielem jest Gustaw, ale gdyby tak niepodobieństwem pojawił się ktoś inny?

Emelina zbladła i odpowiedziała spuszczając oczy:

— Sama powiedziałaś matko że jest to niepodobieństwem, więc na cóż robić niemożliwe przypuszczenia.

Hrabina przenikliwie spojrzała na córkę: obawa

niebezpieczeństwa na chwilę ocuciła ją z odrętwienia. Uspokoiła się jednak niedługo—wydało jej się rzeczywiście niemożebnem, aby Emelina choćby w wyobraźni zajęła się kimś niebezpieczniejszym od pięknego Gustawa. Zaprzestała więc dalszego badania i pewna że córka jej nie opuści, znowu pogrążyła się w swej apatycznej obojętności. Zaraz jednak odpisała pani d'Astiville iż stan zdrowia zniewala ją na długo jeszcze pozbawić ją miłego jej towarzystwa, dodając że ponieważ córka jej nie chce wcale iść za mąż, pan Gustaw powinienby spełnić życzenia ojca i ożenić się, nie łudząc się niemożliwą do ziszczenia nadzieją.

Wysławszy tę odpowiedź, hrabina odetchnęła mó wiąc sobie że skończyła już ze światem żyjących; nie miała sił odpowiednich do życia jakie sobie stworzyła, i sama czuła coraz większy ich upadek. Samotność wymaga wielkiej mocy duszy i wzniosłości pojęć—a obojga nie posiadała nigdy. Nie pragnęła życia a zarazem niewymownie bała się śmierci, łatwo więc pojąć jak gorzką była jej dola.

Rok następny cięższym jeszcze był do przebycia; otrętwiała na zewnątrz, w gruncie cierpiała coraz więcej. Uczuwając niewysłowiony wstręt do osamotnienia na jakie się skazała. nie chciała jednak wyjść ze swego więzienia, ubolewając przecież bezmiernie nad gwałtownem postanowieniem swojem, powziętem zbyt jawnie i głośno aby je zmienić mogła. Znienawidziła całą ludzkość za jej działalność i siłę, gdy ona siedzi bezczynna i prawie nieruchoma. Nie miała żadnej wiary, a przecież sarkała na jakąś wyższą moc prześladującą ją tak zawzięcie i pytała złorzecząc za jaką zbrodnię tak ciężką ponosi karę.

Nie skarżyła się jednak głośno i tylko zapadłe oczy i policzki, pożółkła twarz i spieczone usta zdradzały ukrywaną rozpacz, Widział to pan de Madiran i zaniepokoił się mocno, a Emelina podwajała usiłowań aby osłodzić nieco straszny kielich goryczy jaki matka jej spełniała codziennie. Modliła się gorąco aby Bóg ulżył cierpień jej matce i zawsze pogodna i słodka przesuwała się jak ptaszę po smutnych pokojach, a jedyną jej było pociechą iż czasami rozmawiając ze starym przyjacielem słyszała i sama wymawiała imię Roberta.

Ludwika pisywała do niej tak często jak jej tego dozwalało nieustanne czuwanie przy łożu chorej, zupełnie sparaliżowanej matki. Emelina nie wątpiła o niezachwianem jej przywiązaniu i sercem i myślą często unosiła się do Accroches, w których tyle lat spokojnych spędziła.

XX.

Właśnie gdy Emelina doszła do pełnoletności, hrabina położyła się aby już nie powstać z łóżka. Gdyby tego pragnęła, mogłaby jeszcze może odzyskać zdrowie, ale wolała umrzeć skoro życie żadnego już dla niej nie miało powabu.

Doktorzy poznali że moralny powód był główną przyczyną wzmagającej się utraty sił, i nie taili przed panem de Madiran że stan chorej jest prawie bez nadziei, gdyż źródło życia nie podsycane wolą, zupełnie się prawie wyczerpało. Ukrywano to przed Emeliną, jednak wyczytała prawdę w zmienionej twarzy matki. Straszna boleść zawładnęła jej duszą na samą myśl że matka jej której ostatnie dwa lata życia były ciągłem prawie konaniem, schodzi z tego świata bez wiary, bez nadziei wiecznego życia.

Pewnego dnia gdy łzami zalana modliła się w milczeniu, usłyszała rozkazujący głos matki.

— Emelino!

— Co mama każe?

— Co zamierzasz czynić gdy ja umrę... co niedługo już nastąpi?

— Ach! matko... nie mów tego.

— Odpowiedz mi co zrobisz.

— Co mi rozkażesz, matko.

— Choćby to sprzeciwiało się twoim upodobaniom... czy zamiarom?

— Nie mam szczególnych upodobań... ani też zamiarów.

— To ma znaczyć że trzymam cię w takiej niewoli iż nawet zapragnąć nic nie możesz.

— Ma to tylko znaczyć że myśląc tylko o tem aby cię doglądać i doczekać się twego powrotu do zdrowia, nie zaprzątałam sobie głowy bezużytecznemi marzeniami.

— Jednak wiedziesz przy mnie ciężkie i smutne życie?

— Jeśli tylko choć cokolwiek zdołałam osłodzić twoje...

— Przyznaję że odważnie poświęciłaś się dla mnie... przyznaję nawet że przygnębiona ciężkim moim smutkiem, nie okazałam ci najmniejszej wdzięczności.

— Matko, czyż skarżyłam się kiedykolwiek?

— Nigdy... z początku myślałam że czynisz to przez dumę, ale nareszcie zrozumiałam że prawdziwa cnota kieruje twojem postępowaniem.

— Kochając cię, matko, nie trudno mi było spełnić swój obowiązek.

— Kochasz mnie... kochasz mnie, Emelino... to szczególne rzeczywiście... Dziewczyna tak rozumna jak ty, nie mogła nie dostrzedz że nie byłam taką jak inne matki...

— Czy nie kochasz mnie matko?

— Kocham, ale nie tak pewnie jak chciałabyś być kochaną. Nie bawiłam się nigdy w pieszczoty i czułości, nie zgadza się to z moim charakterem... Tak długo przebywałaś daleko odemnie... czy nigdy nie badałaś powodu... nie oskarżałaś mnie o obojętność?

— Będąc zdala od ciebie, matko, nigdy nie pozwalałam sobie sądzić ciebie, i tylko ucieszyłam się bardzo gdy pozwoliłaś mi tu przybyć.

— Przyznaj przynajmniej że pędzisz życie bardzo przykre i smutne?

— A więc przyznaję; ale najgłówniejszym tego powodem, że tak już długo patrzę na twoje cierpienie, żadnej nie mogąc przynieść ci ulgi.

— A jednak spokój i pogoda nigdy cię nie opuszczają.

— Jest to pierwszym obowiązkiem doglądającej chorych.

— Skąd czerpiesz tę słodycz i łagodność?

— W mojem do ciebie przywiązaniu.

— A ten niezamącony spokój?

— Daje mi go poczucie spełnionego obowiązku.

— A tę moc duszy podtrzymującą cię wśród smutków, trudów i przykrości jakich ci nie szczędziłam?

Emelina wlepiła w matkę zadziwione oczy... słowa jej były tak niepojęte, tak różne od tego co kiedykolwiek mówiła.

— Matko, rzekła po chwili, nie mogę się chlubić mocą duszy jaką mi przypisujesz... bo często płaczę... i ciężki ogarnia mnie smutek...

— A czy rozpaczasz kiedy?

— Nie, matko, nigdy... bo jest to uczucie obce chrześcianom.

— Jakże oni szczęśliwi! odrzekła z goryczą hrabina.

Nastało długie milczenie, którego Emelina przerwać nie śmiała. Twarz chorej zdradzała walkę najsprzeczniejszych myśli. Aż nagle odezwała się czyściejszym, przejmującym głosem:

— Słuchaj, Emelino... Ty wierzysz w Boga który karze i nagradza?

— Wierzę.

— Wierzysz w życie przyszłe w którem nie ma łez, zawodów i goryczy?

— O! tak, matko.

— Wierzysz w tajemniczą Istotę która nas powstrzymuje i podnosi z upadku?

— Wierzę niezachwianie.

— I jak się zwie to niepojęte dla mnie uczucie?

— Wiara.

— A więc jeżli ta wiara zrobiła cię taką jak jesteś, jaką cię widzę od tylu miesięcy, cierpliwą, wytrwałą, kochającą pełną bezgranicznego poświęcenia, litościwą, słodką, łagodną, zdolną do zupełnego zaparcia siebie... jest ona rzeczą wielką, szlachetną, wzniosłą... której nie mam a miećbym pragnęła... Daj mi taką wiarę, Emelino.

Emelina, niewymownie zdziwiona, padła na kolana przy łożu matki, z sercem przepełnionem radością.

— Matko ukochana! zawołała... wiara z nieba zstępuje w nasze serca, a można ją pozyskać przez gorące modły.

— Córko, naucz mnie modlić się.

Z promieniejącym czołem, z duszą ukorzoną przed miłosierdziem Bożem, dzięki któremu ta jedna chwila bezmiernej radości wynagradzała jej wszystkie przebyte cierpienia, Emelina zaczęła powoli, wzruszonym głosem odmawiać najwznioślejszą ze wszystkich modlitw *„Ojcze nasz!“*

I Cezaryna w której zaczynało się budzić poczucie potrzeby wiary i modlitwy, zaczęła powtarzać za córką dawno zapomniany pacierz, i potrafiła wznieść się aż do modlitwy siłą woli... bez której wszelka modlitwa jest tylko próżnym słów dźwiękiem, martwą literą, aktem bez żadnej wartości...

. . . .

Ostatnie dni Cezaryny różne były od całego jej życia; czego nie zdołałyby dokazać żadne kazania, nauki, prośby ani namowy, dokonał bezwiednie błogi wpływ Emeliny. Dusza młodej dziewczyny, istne ognisko poświęcenia i miłości, stopiła potrójny pancerz indyferentyzmu, zranionej próżności i dzikiego żalu za niezwrotną przeszłością, po za którym wysychało serce hrabiny. Widząc Emelinę cierpliwą, łagodną, nie tracącą niezamąconej pogody czoła w najrzykrzejszych chwilach życia—zrozumiała cnotę, słysząc ją mówiącą z nadzieją o życiu przyszłem, dojrzała nieba.

Cezaryna potrzebowała tak wiele się nauczyć, tak wiele odpokutować i wynagrodzić a dni jej były policzone... ale szczerze żałującym Bóg zsyła niezwykłe światło i moc odpokutowania. Udzielił ich biednej pokutnicy i zarazem szczere uczucie rozbudziło się w jej sercu, i Emelina doznała świętych radości rodzinnych wtedy gdy były najcenniejsze; gdyż niezadługo utracić je miała.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 32.

(*Dokończenie*)

Wewnętrzne przyozdobienie koszyczka stanowi haft na denku, załączony na ryc. 30, odrobiony oliwkowemi cieniami filozeli dzielonej po dwie nitki, na tle oliwkowego aksamitu. Dwa rodzaje ściegów użyte do zapełniania figur deseniu wskazane są na ryc. 28—29; pierwsza próbka wskazuje ścieg podobny do stebnówki dawanej równemi ściegami w ścisłych rzędach. Na próbce ryc. 29 widzimy najpierw przeprowadzone dość długie nitki podłużne przewiązywane poprzecznie danemi ściegami, przez co tworzy się rodzaj ładnie wiązanych krateczek. Boki koszyczka pokryte fałdowanym niebieskim atłasem; pałączek i brzegi górne przewinięte włóczką hamburgską.

N. 33. Ubranie dla chłopczyka lat 6—8. Krój na arkuszu Nr. X, Fig. 47—55.

Składa się z majteczek, staniczka spodniego i kurtki, uszytych z płótna, drelichu lub sukienka i z całą łatwością daje się dopasować na mniejszego lub większego chłopczyka podług fig. 47—55. Fig 47 daje formę majteczek przy szwach bocznych zapiętych na guziki wzdłuż na 11 cent.; górny brzeg przedniej i tylnej połowy majteczek wszywa się oddzielnie w pasek 4 cent. szeroki, opatrzony dziurkami, do zapinania na guziczki przyszyte do stanika spodniego, z popielatego szyrtyngu (Fig. 48). Przody kurtki zapięte, są tylko pod szyją na haftkę i zachodzą na kamizelkę, wykończoną oddzielnie na podszewce i przymocowaną do przodów w miejscu oznaczonem na formie linją prostą. Przody od *t* do *w* zachodzą na wierzch pleców.

N. 34. Ubranie podróżne z płaszczykiem. Plecy i krój na arkuszu Nr. VIII, Fig. 38—42a i Fig 50.

Ubranie podróżne złożone z krótkiej plisowanej spódnicy i bluzkowego stanika, dopełnione jest płaszczykiem z tego co suknia materjału lub innego w kolorze popielatym lub piaskowym, poddanym jedwabną podszewką i dopasowanym podług Fig. 38 do 42. Zmniejszony format kroju ułatwia zestawienie pojedynczych figur i podaje całkowite miary długości i szerokości. Przody i boki mogą być krajane w jednym ciągu jeżeli na to pozwala szerokość materjału; boki z plecami łączą się szwem od *S*; po zszyciu ramion od *T*—*U* potrzeba rękaw fig. 41 przyłożyć literami odpowiedniemi sobie od *V* przez *U* do *S* i przyszyć gładko. Przedni brzeg rękawa puszczony wolno od *V* i ozdobiony szlakiem krzyżykowym, wyszytym filozelą koloru płaszczyka, przedłużonym i udołu rękawa. Kołnierz wyszyty odpowiednio związany grubym jedwabnym sznurem.

N. 35. Ubranie dla młodej panienki.

Suknia z płócienka écru przybrana szlakami wyszytemi kolorowo na maszynie, otoczona trzema rzędami plisowania przedzielanemi szlakiem deseniowym. Tunika z przodu składa się z dwóch części ściętych w ząb zachodzących na siebie z brzegów oszytych szlakiem z tyłu zaś upięta jest z prostego bryta. Na szyi oryginalnie raz tylko przewiązana krawatka z białego tiulu w rzuciku 200 cent. długa a 40 szeroka, zakończona u dołu wyszyciem obwodzonem nitką złotą. Takie krawatki czarne i białe modne są bardzo dla młodych osób.

N. 40. Suknia z długim stanikiem. Krój na arkuszu Nr. III, Fig. 11—17.

Skromna sukienka dla młodej panienki może być z letniego lub grubszego materjału; model był z niebieskawo popielatego beżu gładkiego i w kratkę. Wskazanie kroju spódnicy podaje fig. 17; garnirunek 45 cent. szerokości składa się z dwóch po 19 cent. szerokich plisowanych falban, naszytych plisą w kratkę $3\frac{1}{2}$ cent. szeroką i z bufy 10 cent. szerokiej krajanej skośno i przemarszczonej cztery razy z dwoma nagłówkami z brzegów Długi stanik z podwójnym kołnierzem zakończony plisą 8 cent. szeroką może być na dwa rzędy guzików lub z plastronem z przodu.

N. 41. Ubranie ranne dla młodej panienki. Krój na arkuszu Nr. IX, Fig. 43—46a.

Suknia princesse z fałdą á la Vatteau, może być noszona z paskiem lub bez i daje się wykończyć z jakiego kolwiek materjału wełnianego lub letniego do prania. U dołu dany wolant z bufą i kilkakrotnie przemarszczonym nagłówkiem, nad którym naszyta deseniową plisą lub szlak haftowany w maszynie czy ręcznie wyszyty krzyżykami, z nagłówkiem fałdowanym. Kołnierz i mankiety wyszyte odpowiednio. Przody wzdłuż oznaczonej cienkiej linji są przymarszczone kilkakrotnie; plecy złożone w fałdę puszczoną wolno lub przeszytą od spodu w pasie.



Nr. 1—3. Ubranie żałobne dla dam i dzieci

N. 1. Ubranie z vetement. Plecy na ryc. 33 w N. 34. Model kroju ryc.

N. 2. Ubranie z dużą chustką

N. 3. Ubranie żałobne dla małej dziewczynki.

Opis do N-ru 33.

N. 1—3 i 29 oraz N. 33 w N. 34 Tyg. Mód. **Ubranie** żałobne dla osób dorosłych i dzieci.

Ubrania do grubej żałoby powinny odznaczać się prostotą i powagą a unikać w nich wypada wszelkich zwracających oczy fasonów i sutych garnirunków. Na ryc. 1 i 33 w Nr. 34, podajemy z przodu i z tyłu ubranie z cienkiego kaszmiru, złożony ze spódnicy nie dotykającej ziemi i długiego vêtement formą *princesse*, dopasowanego podług ryc. 29. Przody przykrojone razem z bocz- kami podług litery *a* od góry na 80 cent. długości zapinają się na guziki, dalej zaś rozchodzą dość szeroko od dołu, ażeby widać było spódnicę układaną w fałdy. Tylną draperyą widoczną na ryc. 33 w Nr. 34, upina się z dwóch prostych brytów *c* i *d*; pierwszy z nich sfałdowany w górze do 14 cent., podszywa się od spodu do pleców, z boków równo zaszyty w fałdki do 81 cent., zeszywa się z jednej strony zupełnie z przodem *a*, z drugiej łączy tylko kawałkiem od dołu. Bryt *d* służący do dopełnienia draperji, jest w górze ściśle zfałdowany, z boków gładko puszczony, i tylko z jednej strony od krzyżyka do dwuż kopa między szew części *a* i *c* wszyty; brzeg dolny takeszfałdowany, wszywa się gwiazdką do gwiazdki z drugiej strony pod brytem *c* między szew przodu i pleców. Garnirunek vêtement stanowi plisa 8 cent. szeroka z wypustka $\frac{1}{2}$ cent.; duże kieszenie mają 26 cent. dolnej, 21 górnej zerokości a 30 cent. długości. Kapelusz czarny słomkowy, z długim welonem krepowym.

N. 2. Ubranie żałobne z chustką.

Składa się ze spódnicy bez trenu oszytej plisowaniem z tego samego materyału i szerokiemi plisami z kreppy angielskiej, ze stanika z długą baskiną oszytą takąż plisą i z dużej chustki kwadratowej z brzegów szeroką kreppą obłożonej. Z tyłu sukni upięta draperja z prostego bryta. Kapelusz krepowy formą kapotki.

N. 3. Ubranie żałobne dla małej dziewczynki. Biała batystowa sukienka ubrana pliskami, plisowaniem i haftowanemi falbankami. Szarfa z szerokiej czarnej repsowej wstążki, kapelusik biały słomkowy, ubrany czarną wztążką, a podszyty aksamitem.

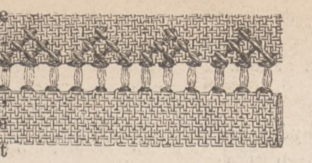
N. 4—7. Mitenki ogrodowe ozdobione haftem krzyżykowym.

Mitenka składa się z dwóch prostych kawałków szarego płótna lub batystu 10 cent. długich złączonych listewką 1 cent. szeroką z których górny ma 19 a mankiét zwierzchu w fałdę założony 26 cent. szerokości. Podkrój na wielki palec mający w środku 7, przy zeszyciu $2\frac{1}{2}$ cent. wysokości, ma 15 c. obwodu brzegi mitenki i dużego palca wszytego ściegiem krzyżowanym jedwabiem bronzowym, ozdobione są obrąbem w kratkę ażurową i wyszyciem bronzowem, których próbkę dajemy na ryc. 4 i 5. Zwierzchu na mitence i na palcu wyszyte gałązki krzyżykami jedwabiem do cieniu. Jak to widzimy na ryc. 7, mitenkę zeszywa się w środku, od spodu, na 6 cent. długości, a listewkę zapina na guzik i pentelkę.

N. 8—11 i 26. Fartuszki ozdobione wstawkami i haftem kolorowym.

N. 8—11. Fartuszek płócienny. Przykrojony prosto na sposób włoski różni się od podawanych poprzednio, brakiem górnego wykładu, któren przy szerokim szlaku złożonym ze wstawek i wyszywanych pasków, byłby zbyteczny. Prosty kawałek grubego białego płótna, mający 50 cent. szerokości i a 39 długości, dopełniony jest do długości 67 —70 cent., szlakiem złożonym ze wstawek 4 cent. szerokich i różnej szerokości ślaczków wyszytych na płótnie Próbkę wstawki nicianej warsztacikowej załączamy na ryc. 10 a siatkowej na ryc. 11. Kolorowe

paski składają się ze szlaczków fabrycznych 2 i 2 $^1/_2$ cen. szerokich, na dwie strony przerabianych kolorem ponsowym i niebieskim i takiemiż kolorami wyszywanych pasków płóciennych. Układ wstawek dokładnie wskazuje ryc. 8. Z brzegu przyrobiona jest frendzla 11 cent. szeroka. Do wiązania służy biały 231 cent. długi sznur z kwastami.



N. 5. Ozdobienie obrąbka przy mitence r. 6—7. Kratka i wyszycie ściegiem długim.

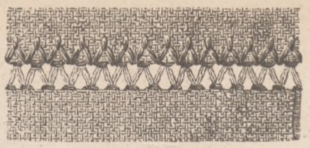
N. 9 i 26 fartuszek czarny repsowy formą włoską. Mający 51 cent. szerokości a 62 długości, ozdobiony frendzlą jedwabną ze sznelą, 9 cent. szeroką i szlakami haftu gobelinowego robionego filozelą w bladych kolorach różowym, niebieskim, żółtym i zielonym.

N. 11. Wstawka siatkowa do fartuszków lub bielizny. Robiona jest prosto bez gubienia i przybierania deseń w skośne, kwadraty wyszywa się ściegiem cerowanym i dwoma rzędami rzadkich ściegów dzierganych w środku jedne za drugie zaczepianych. W tle skośne oczka siatki są każde oddzielnie zapełniane ściegami zadziergiwanemi; krzyżującemi się w środku, a z brzegów tworzącemi obwódkę



N. 9. Fartuszek czarny repsowy ozdobiony haftem gobelinowym i frendzlą. Deseń do haftu na ry. 26.

N. 8. Fartuszek z białego płótna ozdobiony wstawkami i szlaczkami kolorowemi. Zobacz wstawki na 10—11.



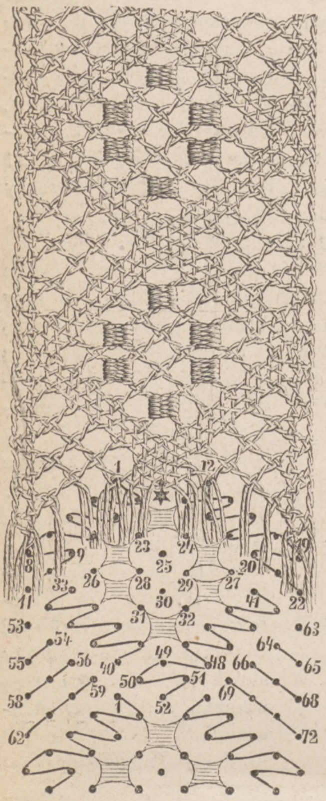
N. 4. Ozdebienie obrąbka przy mitence ryc. 6—7. Kratka i wyszycie krzyżykami.

N. 12 Serwetka do mebli (têtiére) ozdobiona szlakiem siatkowym i haftem.

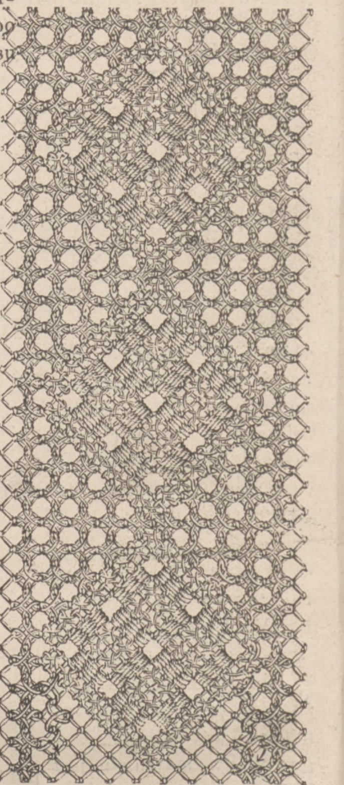
Na ciemnem pluszowem tle serwetki pięknie odbija szlak siatkowy podłożony jasnym atłasem a cerowany jedwabiami kolorowemi, ślaczki wązkie robione są na podłożonej kanwie, na tle pluszowem ściegiem krzyżowym i podłużnym, takiemi jak wywodzenie kolorami. W górze jako zakończenie daje się pasek jasnego atłasu, na którym wyszyty jest szlaczek. Do sofy lub kanapy można dać takie ochronne pokrycie zajmujące całą dlugość poręczy.

N. 13—15. Szlak cerowany kolorami na siatce do serwet, portier, rolet, têtiére, lub t. p.

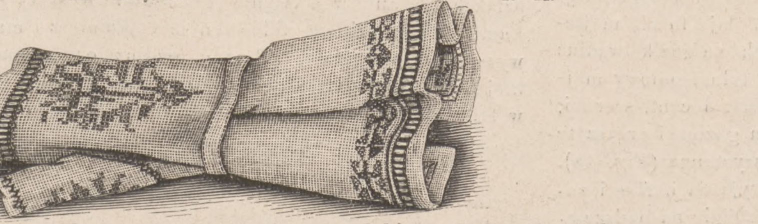
Piękność szlaku wyszytego na siatce kolorowemi jedwabiami, polega głowniena na doborze kolorów. Model miał tło z jedwabiu cienkiego ponsowego, a deseń cerowany był jedwabiami w guście tureckim z domięszaniem złota; duże arabeskowe kwiaty miały podstawę zieloną, zewnętrzne listki były w drugim cieniu zielone i ponsowe środek miał kontury złote, tło niebieskie w dwóch cieniach, a kielich zielony. Mniejsze figury były robione kolorami oliwkowemi i ponsowemi do cieniu i nitką złotą. Na próbce siatka jest bez podłożenia, a szlaczek w górze robiony takiemiż jak cerowanie kolorami na kanwie kongresowej. Próbkę innych gałązek dajemy na ryc. 13 i 14. Z podobnych szlaków przedzielanych szerszemi lub większemi pasami materji jedwabnej lub wełnianej, można robić większe lub małe serwetki do mebli i t. p. albo też do tła z pluszu, atłasu jedwabnej lub materji meblowej dać tylko szlaki siatkowe ażurowe lub na jasnem podłożeniu. Siatka także może być biała wyszyta jedwabiami kolorowemi, albo cerowana biało z obwódką kolorową lub złotą.



N. 11. Wstawka siatkowa do bielizny, fartuszków i t. p.



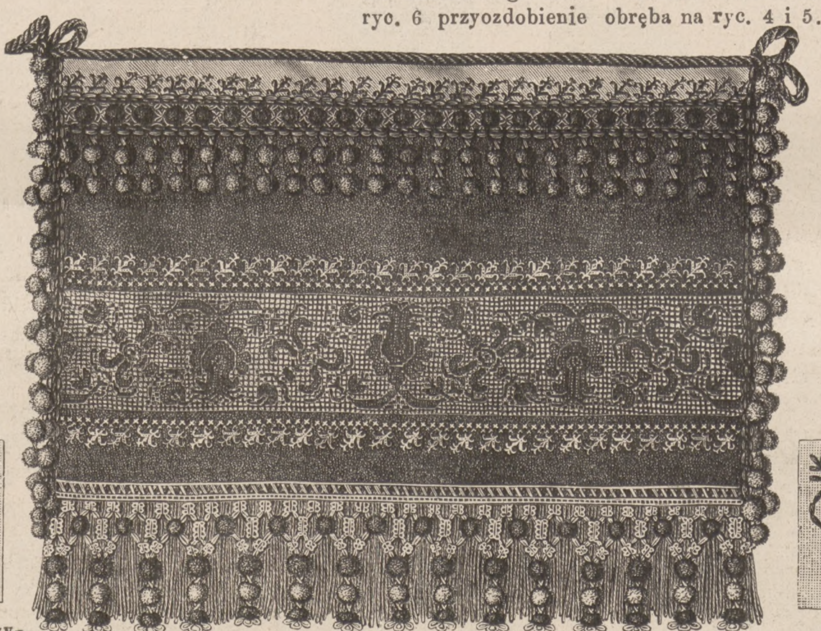
N. 10. Wstawka koronkowa robiona na szpilkach do fartuszka ryc. 8.



N. 6. Mitenka ogrodowa ozdobiona haftem krzyżykowym. Zobacz część spodnią na ryc. 7 przyozdobienie obręba na ryc. 4 i 5



N. Mitenka ogrodowa. Zobacz wierzch na ryc. 6 przyozdobienie obręba na ryc. 4 i 5.



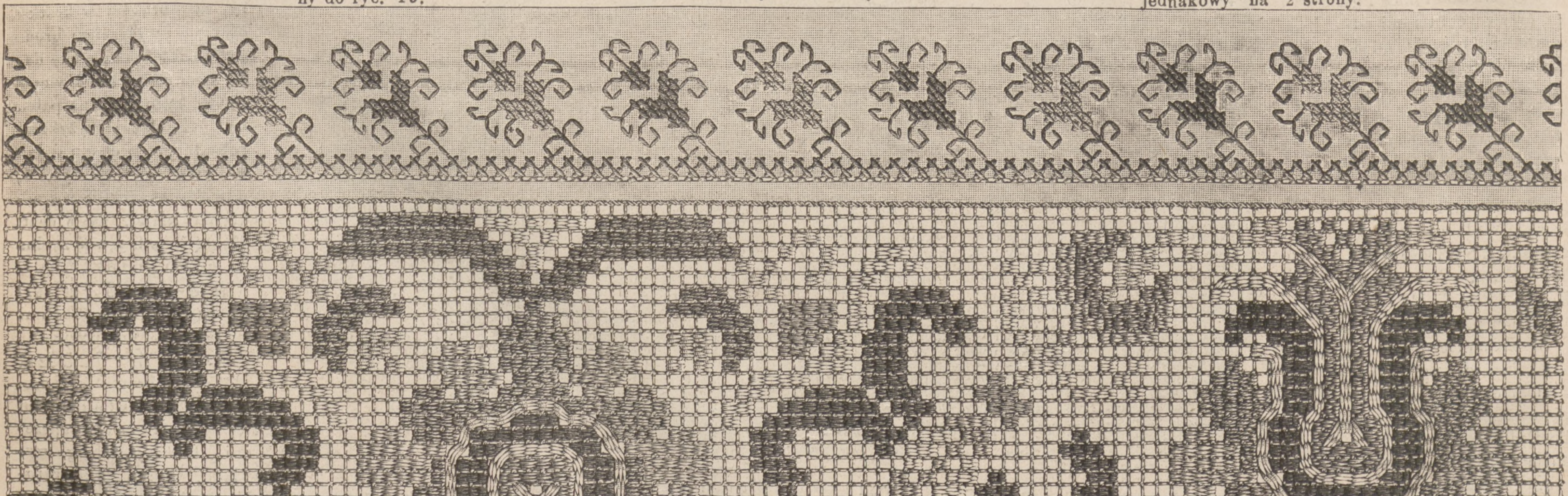
N. 12. Serwetka (tetiére) na poręcz do mebli ozdobiona haftem i wstawką. Patrz na ryc. 13—15.



N. 14 Gałązka do wyszycia ściegem na dwie strony do ryc. 15.



N. 13 brzeżek wyszyty przy wstawce r. 15. Ścieg jednakowy na 2 strony.



N. Szlak wyszywany kolorowo na siatce, do serwet, portjer i t. p. użyty przy serwetce meblowej ryc. 12. Patrz ryc. 13 i 14.

N. 16 i ryc. 10—12 w N. 34. Szlak haftowany kolorowemi jedwabiami.

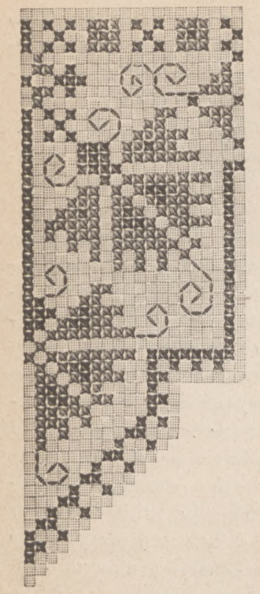
Rycina 16 przedstawia w naturalnej wielkości deseń do haftu w rodzaju *resainansse*, odrobiony filozelą w pięknie dobranych kolorach i cienkim sznureczkiem jedwabnym. Rycina 11 w N. 34 daje próbkę haftu płaskiego ściegami długiemi wchodzącemi jedne w drugie, dwoma nitkàmi filozeli, robionego na grubem w krośna wszytem płótnie; a ryc 12 próbkę szlaku przewijanego nakształt wstążki, w którym daje się najpierw podłożenie bawełnianego sznureczka, przeciąganego przez płótno w sposób na próbce wskazany. Na tem układa się cienkie sznureczki jedwabne, które po dwa razem w odstępie dwóch podłożonych sznureczków, przeszywa się jedwabiem takiego samego koloru. Następne rzędy sznureczków powinny się mijać z poprzedzającemi. Gdy haft będzie wykończony trzeba rozpięte w krośnach płótno równo posmarować klajstrem lub gumą z lewej strony, podkleić papierem. a gdy wyschnie wypróć z krosien wyciąć starannie tłe płócienne na parę lenijek od brzegów, ułożyć wycięty deseń na aksamicie rozpiętym w krośnach przykleić do niego gumą, akontury i brzegi zakończyć grubszym sznureczkiem jedwabnym przyszywanym podwójną n k filozeli. Na medelu wstążki byjo koloru vieil-or, oszyto z brzegòw sznureczkiem trochę jaśniejszym, kwiaty i liście cieniem popielato, różowo lub żółto białym, ozdobione na przemian ściegami ponsowego i złotego, albo różowego i piaskowego koloru. Odpowiednio do koloru aksamitu, kontury oszyte sznureczkiem, zarówno jaki torsadka z wązką frendzelką z brzegu. Haft taki zdobił poduszkę i górne przykrycie klęcznika (ryc. 10 w N. 34), bardzo pięknej snycerskiej roboty. Pod płasko wysłaną poduszkę i przykrycie daje się podszewkę jedwabną; to ostatnie przyczepia się za skryte uszka ze sznureczka domałych umieszczonych w pulpicie goździków, i naczej ciężki haft ściągał by go na ziemię. Tło przykrycia poduszki było z aksamitu ciemno oliwkowego.

N. 17—18 i 25. Koszyk do robót ozdobiony lambrekiną.

Okrągły koszyk pleciony ze słomy, mający 30 cent. wysokości, a 108 górnego obwodu, podszyty był wewnątrz niebieskim kaszmirem z którego zrobiony był także woreczek ściągany, 40 cent. długi. Zwierzchu koszyczek ozdobiony był lambrekiną 17 cent. szeroką. robioną dwoma nitkami filozeli albo



N. 16 Deseń do haftu różnokolorowego na meble i t. p. Zobacz ryc. 10 i próbki roboty na ryc. 11—12 w N. 34.



N 17. Półowa zęba do lambrekiny. Haft krzyżykowy na kanwie jawa służyć mogący do r· 25.

włóczką *crevel*, na kanwie jawa koloru niebieskawo popielatego. Deseń z oznaczeniem kolorów dajemy na ryc. 18, inny stosowny na ryc. 17. Frendzla 2 cent. szeroka siepana jest w kanwie, sznury niebieskie włóczkowe, kwasty z włóczki i nitek z kanwy siepanych.

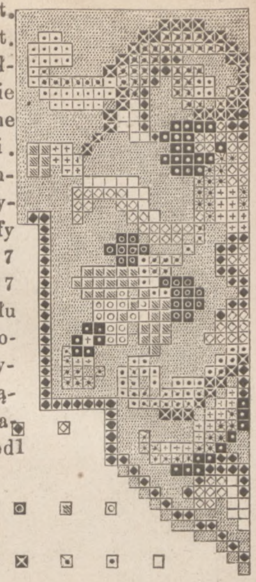
N. 20 Kokarda z fularowego krawatu, mającego 13 cent. szerokości 110 długości.

N. 21. Kokarda z chusteczki fularowej, ciemno szafirowej w ponsowy rzucik, trzymającej 42 cent. w kwadrat.

N. 22. Krawatka z ciężkiej materji w deseń jasno bronzowy na tle granatowem, mającego 15 cent. szerokości a 120 długości, frendzla wrabiana 4 cent. szeroka.

N. 23. Ubranie z długim paletocikowym stanikiem, dla panienki lat 12—15. Spódniczka beżowej sukienki piaskowego koloru, dopełniona jest szerokim napowietrznym wolantem układanym w kontrafałdy; przód zdobi przemarszczana, tunikowa draperja, prostym z tyłu brytem zakończona u dołu zaokrąglonym. Szeroka plisa przy tunice ma wypustki atłasowe. Paltocikowy stanik z odciętą z przodu i przy boczkach baskiną zdobią atłasowe wypustki kardy.

N. 24. Suknia formą princesse dla panienki lat 12 do 15. Sunknia z kretonu albo zefiru w drobną kratkę z tyłu na guziczki zapinana, u dołu dopełniona plisowaną, 20 cent. szeroką falbaną, z 3 ct. szerokim nagłówkiem, ma formę princesse. Do przodów dodaje się 15 cent. na trzy. 5 cent. szerokie kontrafałdy z których dwie brzeżne ozdobione są guziczkami. U dołu pod kontrafałdami przyszywa się dwie szarfy przyfałdowane, 27 cent. szerokie a 127 i długie, u dołu frendzlą lub plisowaniem oszyty z tyłu na węzeł związane. Pasek zapięty z przodu pod kokardą.



N. 18. Połowa zęba do lambrekiny do ryc. 25. Haft krzyżykowy.

Opis do N. 34

N. 1. Sukienka z paletocikiem dla dziewczynki lat 7 do 10.

Do spódniczki z plisowaniem 32 c. szerokiem przyszytem plisą atłasową 3 cent. szerokiem przyszytem plisą atłasową 3 cent. szeroką, włożony długi w półwcinany paletocik, objęty w około atłasową wypustką. Przody i boki krajane w jednym ciągu, krótka baskina pleców założona w kontrafałdę, dopełniona dodanemi od spodu szarfami, objętemi atłasem i zakończonemi plisowaniem. 3 cent. szerokiem. Przy kołnierzu marynarskim mankietach i kieszonkach plisa atłasowa 3 cent. szeroka. Model był odrobiony z popielatego wełnianego materjału z ponsowym atłasem i złotemi guziczkami.

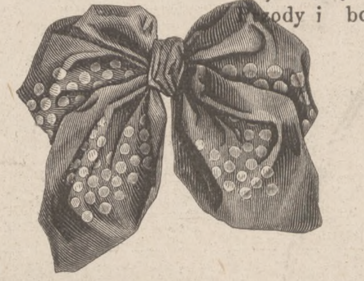
N. 2. Ubranie dla chłopczyka. Uszyte z granatowego płótna i ozdobione wypustkami z ponsowego perkalu i guziczkami z konchy perłowej. Brzeg tylnej połowy majtek wszyty w pasek 4 cent. szeroki, zaś przednia



N. 19. Kapelusz dziecinny z szyrtyngu z wszytemi w środek sznurami



N. 20. Kokarda upięta z krawatki.



R. 21. Kokarda z chusteczki kwadratowej.



N. 22. Krawatka z grubej de wej materji jedwabnej.



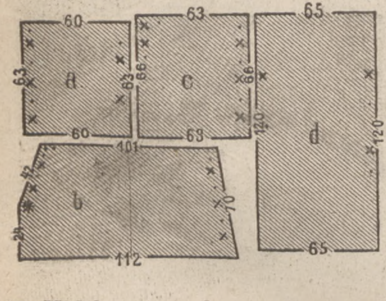
N. 23. Ubranie z długim paltocikowym stanikiem dla panienki lat 12 do 15.



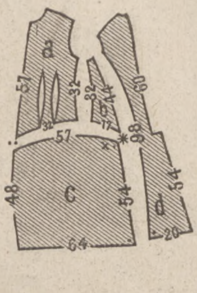
N. 20. Koszyk do robót ozdobiony lambrekiną haftowaną ściegiem krzyżykowym. Patrz ryc. 17—18.



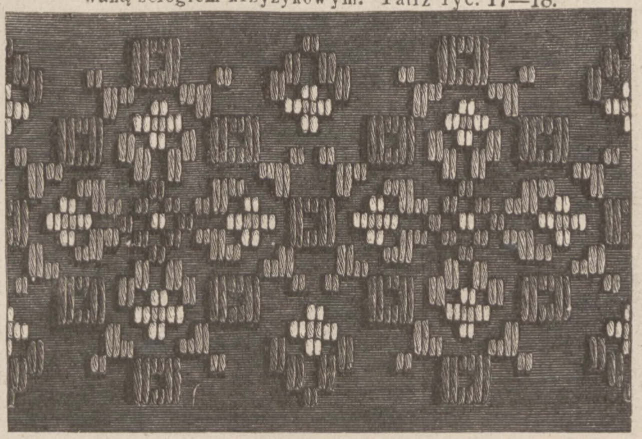
N. 24. Ubranie formą princesse dla panienki lat 12—15.



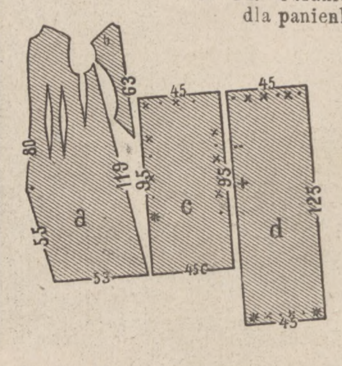
N. 27. Model i miary draperji na spódnicy do ryc. i 46 w N. 34.



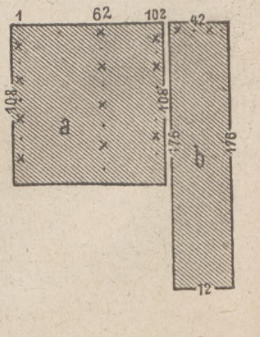
N. 28. Model i miary vetement do ryc. 8 i 34 w N. 34



N. 26. Deseń do haftu gobelinowego do fartuszka ryc. 9 Robota na podłożonej kanwie.



N. 29 Model i miry vetement do ryc. 1 i do ryc. 33 w N. 34.



N. 30. Model i miary draperji na spódnicy do ryciny 7 do N. 34



Pl. 436.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.